

ENOOLA HOLMES

NANCY SPRINGER


SPRAWA TAJEMNICZEGO ZNIKNIĘCIA KSIĘŻNEJ

Enola Holmes to superbohaterka na miarę przygodowej
wyobraźni wszystkich dziewczyn!

- JUSTYNA BEDNAREK -

TOM - 6 -



 Poradnia K

NANCY SPRINGER

**ENOLA
HOLMES**

**SPRAWA
TAJEMNICZEGO
ZNIKNIĘCIA KSIĘŻNEJ**

PRZETŁUMACZYŁA ELŻBIETA GAŁĄZKA-SALAMON



Dla mojej matki



Panie Sherlocku, tak się cieszę, że pana widzę. Doprawdy, nie posiadam się z wdzięczności! – Pani Lane, wierna służąca rodziny Holmesów, pamiętająca wielkiego detektywa z czasów, kiedy ten był jeszcze malcem w krótkich spodenkach, nie umie powstrzymać drżenia w głosie ani łez wzbierających w zamglonych starczych oczach. – Nie posiadam się z wdzięczności, że raczył pan przyjechać.

– Nonsens. – Sherlock Holmes, który zwykł unikać jak ognia wszelkich manifestacji uczuć, skupia uwagę na ciemnej boazerii przedsionka Ferndell Hall. – Cieszy mnie, że pojawiła się możliwość odwiedzenia rodzinnego domu. – Odziany w letni, odpowiedni na wiejski wypad strój: beżowy lniany garnitur, lekkie brązowe buty z koźlącej skórki i także rękawiczki oraz czapkę typu *deerstalker*, odkłada rękawiczki, nakrycie głowy i laseczkę na stolik w saloniku, by bez zbędnych ceregieli przystąpić do rzeczy. – Treść telegramu pana Lane’a bardzo mnie zaniepokoiła. Doprawdy, coś tak was zafrapowało w tej przesyłce, że baliście się ją otworzyć?

Nim zapytana zdoła odpowiedzieć, do saloniku wbiega jej mąż, siwowłosy kamerdyner, zapomniawszy na chwilę o dystygowanych manierach.

– Pan Sherlock! Jakże zacnie z pana strony! – On także rozplywa się w unieżonych grzecznościach. – To radość dla moich umęczonych wiekiem oczu... Jakże wielkodusznie z pańskiej strony... w tak upalny dzień... Czy mogę zaproponować, by spoczął pan na zewnątrz?

Chwilę później Sherlock Holmes zostaje usadowiony na zacięzionym ganku, gdzie lekki wiaterek łagodzi nieznośny upał. Pani Lane oferuje gościowi lemoniadę z lodem i makaroniki, a Holmes usiłuje podjąć kolejną próbę przejścia do konkretów.

– Lane – zwraca się do sędziwego kamerdynera – co was tak wystraszyło w dostarczonej niedawno przesyłce?

Starszy pan, nawykły od dziesięcioleci do rozwiązywania domowych kłopotów, przystępuje do udzielania wyjaśnień w sposób metodyczny:

– Po pierwsze i najważniejsze, panie Sherlocku, to fakt, że pojawiła się w środku nocy. Po drugie, nie wiadomo, kto ją zostawił.

Wielki detektyw zdradza pierwsze od swojego przybycia oznaki zaciekawienia. Pochyliła się ku rozmówcy ze swego wymoszczonego poduszkami wiklinowego fotela.

– Gdzie się pojawiła?

– Pod drzwiami kuchni. Z pewnością znaleźlibyśmy ją dopiero następnego dnia rano, gdyby nie Reginald.

Warujący nieopodal kudłaty owczarek szkocki unosi łeb na dźwięk swego imienia.

– Pozwalamy mu spać wewnątrz – wyjaśnia pani Lane, sadowiąc swoje obfite kształty w fotelu obok – bo lata dają mu się już we znaki, jak i nam zresztą.

Reginald ponownie przywiera pyskiem do podłogi, a jego kudłaty ogon bije rytmicznie o deski ganku.

– Zaczął szczekać, jak mniemam? – W głosie Sherlocka Holmesa pobrzmięwa zniecierpliwienie.

– Oj, rozszczękał się niczym tygrys! – potakuje energicznie pani Lane. – Ale i tak pewnie byśmy go nie usłyszeli, gdyby nie to, że od jakiegoś czasu sypiam na kanapie w bibliotece, za co bardzo jaśnie pana przepraszam, ale kolana nie pozwalają mi już wspinać się po schodach.

– Ja przebywałem w naszych pokojach – stwierdza dobitnie pan Lane – i nie miałem pojęcia o niczym, póki żona nie wezwała mnie na dół, dzwoniąc.

– Skakał na kuchenne drzwi i szczekał jak dziki lew! – Należy przypuszczać, że pani Lane ma teraz na myśli psa. Jej pełne emocji słowa kontrastują z rzeczową relacją małżonka. Tym bardziej że ani tygrysy, ani lwy nie szczekają. – Bałam się ruszyć, dopóki pan Lane nie zszedł na dół.

Sherlock Holmes wyprostowuje plecy i wraca do poprzedniej pozycji. Na jego twarzy o ostrych rysach maluje się niesmak wywołany głupotą rodzaju ludzkiego.

– A zatem kiedy zdecydowaliście się wybać sprawę, znaleźliście pakunek i ani śladu po jego tajemniczym dostarczycielu czy dostarczycielach. O której to było godzinie?

Lane odpowiada:

– Mniej więcej dwadzieścia po trzeciej w nocy z czwartku na piątek, panie Sherlocku. Wyszedłem na chwilę, żeby się rozejrzeć po okolicy, ale że noc była ciemna i pochmurna, niczego nie zdołałem wypatrzeć.

– No tak. A zatem wnieśliście pakunek do domu, ale go nie rozpakowaliście. Dlaczego?

– Nie śmieliśmy, panie Sherlocku. Zresztą przesyłka wyglądała nader osobliwie. Aż trudno to wyjaśnić.

Wbrew swoim zapewnieniom pan Lane jest gotów udzielić wyjaśnień, jednak Sherlock Holmes przerywa mu władcym gestem:

– Wolę polegać na własnych wrażeniach. Bądź łaskaw przynieść tę tajemniczą paczuszkę.

Trudno to nazwać paczuszką. Jest to raczej ponadwymiarowa koperta sklejona z szarego papieru, tak lekka, że wydaje się pusta. Ale znajdujące się na niej gryzmoły wprawiają w zdumienie nawet samego Sherlocka Holmesa. Cały przód koperty pokrywają toporne czarne rysunki. Wszystkie jej cztery krawędzie zdobią zygzakowate, serpentynowate i spiralne linie, a w każdym z rogów widnieją nakreślone zdecydowaną kreską migdałowate kształty, które wyglądają jak patrzące z uwagą oczy.

– Aż ciarki mnie przechodzą, ot co – stwierdza pani Lane, robiąc znak krzyża.

– I być może mają budzić taką reakcję. Ale kto... – Sherlock Holmes zawiesza głos, wpatrując się w kolejne rysunki.

Każdy wolny skrawek powierzchni wypełniono nieudolnymi wyobrażeniami ptaków, węży, strzał, znaków zodiaku, gwiazd, księżyców w nowiu i promienistych słońc, jakby w obawie przed pozostawieniem miejsca dla czegośkolwiek innego. Wyjątkiem jest duże koło nakreślone pośrodku koperty. Otoczona groźnie najeżonymi rządkami krzyżujących się kreseczek przestrzeń wewnątrz okręgu wydaje się pusta. A jednak Holmes, wydobywszy z kieszeni szkło powiększające, zaczyna się przyglądać środkowej partii koperty z niecodzienną nawet jak dla niego wnikliwością.

Po paru chwilach zaaferowany odkłada lupę. Roztargniony nie zauważa nawet, że umieszcza ją na paterze pełnej makaroników. Zastyga w bezruchu z kopertą na kolanach, zapatrzony w rosnący w oddali dębowy zagajnik.

Państwo Lane wymieniają między sobą spojrzenia. Oboje zachowują milczenie. Zapada głucha cisza, którą zakłóca jedynie pochrapywanie sędziwego Reginalda.

Sherlock Holmes mruga szybko oczyma, zerka na leżącego psa, a następnie spogląda na parę służących.

– Czy któreś z was – pyta – zauważyło rysunek wykonany ołówkiem?

Kamerdyner odpowiada dziwnie oficjalnym, by nie powiedzieć ostrożnym, tonem.

– Tak, widzieliśmy go.

– Moje stare oczy nie pozwoliły mi go dostrzec – oświadcza pani Lane tonem spowiadającej się grzesznicy – póki pan Lane nie pokazał mi go w świetle dnia. Na szarym papierze prawie go nie widać.

– Domyślam się, że był bardziej dostrzegalny, zanim ktoś nasmarował węglem te wszystkie otaczające go ozdóbki.

– Węglem? – wykrzykują jednocześnie kamerdyner i kucharka.

– Bez dwóch zdań. Sypiący się z niego czarny pył sprawił, że ołówkowy rysunek, który moim zdaniem wykonano wcześniej, stał się niemal niewidoczny. Co o nim myślicie?

Państwo Lane spoglądają niepewnie po sobie, wreszcie pani Lane udziela odpowiedzi:

– Jest to bardzo ładne, delikatne wyobrażenie kwiatu...

– Chryzantemy – wpada jej w słowo Sherlock.

– Tak, otoczonego wieńcem liści...

– ...bluszczu – kończy za nią Sherlock szorstkim tonem. – Czy któreś z was rozpoznaje rękę artysty?

Cisza. Służący wyglądają na bardzo zasmuconych.

– No cóż... – odzywa się w końcu pani Lane. – Faktycznie, przypomina mi to nieco... – Kobięcina nie potrafi jednak dokończyć zdania.

– Nie nam o tym orzekać, panie Sherlocku – stwierdza pan Lane niemal błagalnym tonem.

– Ach, dajcież spokój! – Barwa głosu Sherlocka zdradza wyjątkowe jak u niego poruszenie. – Oboje wiecie równie dobrze jak ja, że rysunek ołówkiem wyszedł spod palców mojej matki.

Ma na myśli lady Eudorię Vernet Holmes, która niemal rok temu przepadła bez śladu. Do jej zniknięcia najprawdopodobniej nie przyczyniły się osoby trzecie. Wszystko wskazywało na to, że ekscentryczna starsza dama po prostu uciekła z domu.

Wkrótce w niewyjaśnionych okolicznościach zaginęła także jej córka (i o wiele młodsza siostra Sherlocka), licząca sobie czternaście wiosen Enola Eudoria Hadassah Holmes.

Na jakiś czas zapada milczenie.

Wreszcie pani Lane nieśmiało pyta:

– Panie Sherlocku, czy miał pan jakieś wieści o lady Holmes albo o panience Enoli?

– Ba... – Jeśli nawet wspomnienie imienia siostry wywołuje w słynnym detektywie jakieś żywsze uczucia, jego jastrzębia twarz nie zdradza żadnych emocji. – Tak, spotkałem kilkakrotnie w Londynie Enolę, chociaż nie byłem z tych spotkań zbytnio zadowolony.

– Ale wszystko z nią dobrze?

– Z niesmakiem muszę stwierdzić, że aż za dobrze. Początkowo, jak mi się wydaje, wdała się w korszachy ze swoją matką, wymieniając z nią szyfrowane wiadomości w dziale ogłoszeń drobnych „Pall Mall Gazette”.

Pani Lane spogląda na męża. Ten chrząka, a następnie ośmiela się spytać:

– A pan złamał ten szyfr?

– Było ich kilka. Oczywiście, że je złamałem. Z wyjątkiem jednego, którego nie potrafię rozgryźć. – Kiedy wielki detektyw przyznaje się do porażki, jego głos przybiera ostrzejszy ton. – Ale bez cienia wątpliwości mogę stwierdzić, że nasza matka posługiwała się kryptonimem „Chryzantema”, natomiast Enola była w tym układzie „Bluszczem”. – Sherlock stuka czubkiem palca wskazującego w ledwo widoczny ołówkowy rysunek pośrodku spoczywającej na jego kolanach koperty.

Państwo Lane sapią z przejęcia i to tak głośno, że owczarek Reginald budzi się z drzemki. Podnosi się na cztery łapy, przekrzywiając swój mądry psi łeb. Kudłate uszy strzelają w górę, a czarny nos zaczyna węszyć.

– Reginaldzie. – Sherlock zwraca się do psa z całą powagą, jakby miał przed sobą Watsona. – Od wielu miesięcy lady Holmes nie dawała znaku życia. Dlaczego wiadomość od niej przychodzi właśnie teraz, i to w takiej postaci? – Jego smukłe palce wybijają cicho rytm na szarym papierze. – I co jest wewnątrz?

Lane usłużnie spieszy z pomocą:

– Czy przynieść panu nóż do papieru?

– Nie. Nie mam prawa rozciąć koperty. – Przecież szanujący się dżentelmen nie może naruszyć tajemnicy cudzej korespondencji. – Adresatką przesyłki jest Enola. – Sherlock chowa do kieszeni szkło powiększające i podnosi się z fotela, czujny jak stojący u jego boku pies. Przypomina ogara, który wietrzy ślad. – Zabiorę ją do Londynu i doręczę siostrze do rąk własnych.

Państwo Lane, którzy również powstali, patrzą na niego z niepewnymi minami. W końcu kamerdyner ubiera w słowa dręczące ich oboje pytanie:

– Ale czy jaśnie pan Sherlock wie, gdzie jej szukać?

– Wie. – W oku detektywa pojawia się nagły błysk, a na wargach błąka się przez chwilę cień uśmiechu. – Odnoszę wrażenie, że wie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Stawiając się owego brzemiennego w skutki poranka do pracy w swoim biurze (to znaczy w biurze doktora Lesliego T. Ragostina, naukowca i perdytorysty, mojego fikcyjnego pracodawcy), miałam na sobie idealnie skrojoną princeskę z prążkowanego jedwabiu w kolorze oliwkowym z szerokim białym kołnierzem z organzy, dopasowany barwą kapelusz przypięty do mojej gustownej rudawej fryzury (peruki) oraz obrączkę na palcu.

– Dzień dobry, pani Jacobson! – zawołał, otwierając drzwi, mój chłopiec na posyłki.

– Dzień dobry, Joddy! – Jego słowa wywołały uśmiech na moich ustach. Ba, rozpromieniłam się nawet.

Wreszcie, po trwającej miesiąc tresurze, prosty umysł chłopaka pojął rzeczywistość. Był to doprawdy kolosalny postęp w porównaniu z jego reakcją pierwszego poranka, kiedy zjawiłam się w szytej na miarę sukni (ze śliwkowego nansuku zdobionego szydełkową koronką) i z obrączką na palcu.

– Od tej pory proszę się do mnie zwracać per pani Jacobson – oświadczyłam owego dnia stanowczo zaskoczonym podwładnym doktora Ragostina: gospodyni, pani Fitzsimmons, kucharce, pani Bailey, oraz Joddy'emu. – Jestem panią Johnową Jacobson. – Wysunęłam lewą dłoń, na której złociła się obrączka zakupiona poprzedniego dnia w lombardzie.

– A niech to! – zawołał Joddy, wybałuszając oczy ocienione daszkiem komicznego nakrycia głowy, którego wymagano od chłopców na posyłki. – To złoto, co nie? Takie prawdziwe?

– Cóż, moje gratulacje – powiedziała pani Fitzsimmons. – Przepraszamy najmocniej za zdziwienie, ale zupełnie nas to zaskoczyło.

Przyznam, że sama podzielałam ich niedowierzanie. Ale też nie mogłam im wyjaśnić, że z dnia na dzień, po tym jak mój brat dowiedział się o mnie zbyt wiele wskutek śledztwa w sprawie lorda Whimbrela i szyfru na krynolinie, zostałam zmuszona do nagłej ewakuacji z East Endu, porzucenia fatałaszków panny Ivy Meshle (w tym gotowych sukien ze sklepu, tandetnych treszek z blond włosów i tanich ozdóbek) oraz zmiany tożsamości.

– Nie znać było po pani... hm... tradycyjnych oznak... – brnęła dalej pani Fitzsimmons.

– Banialuki! – wybuchła znacznie bardziej wygadana pani Bailey. – Ten cały pan Jacobson jest tak samo prawdziwy jak doktor Ragostin, czyż nie?

Pozostała dwójka aż sapnęła z wrażenia. Po raz pierwszy ktoś zdobył się na odwagę, by powiedzieć mi prosto w twarz, co sądzi o moim zawiłym fantazmacie, czyli misternej konstrukcji kłamstw, na której zbudowałam swoją karierę. Wiem, że powinnam ostro zganić rozmówczynię za te słowa, jednak widok zaperzonej i fukającej jak jeź starszej pani tak mnie ubawił, że wybuchłam śmiechem.

Cała trójka spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Słuszna i odważna uwaga, pani Bailey – zaszczębiotałam z uśmiechem, opanowawszy nadmierną wesołość. – A jednak proszę mi odpowiedzieć... Czy dostajecie uczciwą zapłatę? Czy dobrze was tu traktują? Czy nie jest to dobre miejsce pracy? – Zwracałam się kolejno do każdego z nich, unosząc brwi i patrząc znacząco.

Odpowiedziało mi entuzjastyczne kiwanie głów, być może pobudzone wspomnieniem sowitej premii wypłaconej przed Bożym Narodzeniem.

– A zatem – spytałam, patrząc ze szczególną uwagą na panią Bailey – jak się nazywam?

Nie wątpię, że kobiecina zdążyła się zreflektować i z wdzięczności, że nie straciła posady za swoją szczerość, odparła z miną konspiratorki:

– To wszystko święta prawda, a panine nazwisko to... to... A niech mnie! Zapomniałam.

– Pani Johnowa Jacobson. – Wybrałam pospolite imię i nazwisko, żeby mój fikcyjny mąż nie musiał być akurat tym Johnem Jacobsonem, którego wszyscy znają.

Starsza pani zgięła się przede mną w ukłonie.

– Tak, łaskawa pani Jacobson.

– Świetnie. Pani Fitzsimmons?

– Moje najserdeczniejsze życzenia, pani Jacobson.

– Dziękuję.

Zmieniłam nie tylko wygląd. Pozwoliłam sobie na nieco bardziej arystokratyczny akcent.

– Joddy?

– Tak, proszę jaśnie pani?

Westchnęłam ciężko. Czy ten matolek jest aż tak odporny na wiedzę?

– Nie tytułuj mnie jaśnie panią! Jak się teraz nazywam?

– Eee... pani Jacobs?

– Jacobson.

– Tak jest, proszę jaśnie pani. Pani Jacobson.

– Doskonale. A tak na marginesie, nie jestem już sekretarką. Pan doktor mianował mnie swoją asystentką.

– Ma się rozumieć, pani Jacobson.

Wszyscy jak jeden mąż kupili bajeczkę o moim awansie.

– Ale w waszym przypadku niczego to nie zmienia – pospieszyłam z wyjaśnieniem. – Proszę wykonywać swoje obowiązki jak dawniej.

Bez zbędnych ceregieli przystąpili do ich wykonywania. Wiedziałam, że lada chwila zaczną o mnie plotkować ze służącymi z całej okolicy. Na szczęście znajdowaliśmy się w dzielnicy leżącej w znacznym oddaleniu od miejsc zamieszkania Sherlocka i Mycrofta, co więcej, żaden z moich braci nie zatrudniał służby. Mimo to westchnęłam cichutko ze strachu, że jakieś echa tych plotek mogą niepotrzebnie pobudzić ich ciekawość.

Ale kiedy czerwiec ustąpił miejsca lipcowi, moje obawy się rozwiały. Jediną godną odnotowania zmianą było to, że w nowym miejscu zamieszkania zaczęłam się lepiej odżywiać, w związku z czym twarz i inne zapadnięte dotąd części ciała nieco mi się zaokrągliły. Mogłam zatem zrezygnować z niektórych wypełniaczy. Wynajęłam drogi pokój w Klubie dla Pań, którego byłam członkinią i do którego pod żadnym pozorem nie mieli wstępu mężczyźni. Czułam się tam naprawdę bezpiecznie. Okoliczności te w połączeniu ze zmianami w wyglądzie doprowadziły do tego, że zapadłam w błogi stan samozadowolenia, z którego los miał mnie niebawem brutalnie wytrącić.

Ale najpierw miało miejsce pewne osobliwe wydarzenie.

ROZDZIAŁ DRUGI

We wzmiankowanym już feralnym dniu, w którym miałam na sobie suknię z oliwkowego jedwabiu, zanim zdążyłam wejść do gabinetu doktora Ragostina, rozbrzęczał się dzwonek u drzwi. Ktoś dzwonił raz, drugi, trzeci, jak na alarm.

– Pomocy! Na miłość boską, niech mnie ktoś poratuje! – zabrzmiał arystokratyczny, melodramatyczny, operowy wręcz męski głos. Zupełnie nieprzystający do obiegu opinii o brytyjskiej rezerwie. – Proszę się pospieszyć! – Czyżbym wyczuwała w jego głębokim basie cudzoziemski akcent?

– Wielkie nieba, Joddy! – ofuknęłam zza biurka spłoszonego chłopaka. – Otwórz drzwi.

Chwilę później ujrzałam właściciela stentorowego głosu. Jego wykrzywiona i nabiegła krwią twarz wyglądała pomiędzy cylindrem a wykrochmalonym kołnierzem, jakby tkwiła w imadle. Mężczyzna miał na sobie surdut, a całości stroju dopełniał jedwabny krawat. Nieznajomy wparował do biura, kierując się w moją stronę. Wstałam z krzesła, żeby go powitać. Trzeba przyznać, że zrobił wszystko, co w swojej mocy, by zapanować nad wyrazem twarzy. Okazał się całkiem przystojnym młodym arystokratą, o nieco pierwotnej urodzie, przywodzącej na myśl Heathcliffa z powieści panny Brontë.

– Czy zastałem doktora Ragostina? – rzucił tonem człowieka, który choć bliski utraty zmysłów, do końca pamięta o dobrych manierach, i zdjął kapelusz, odsłaniając kruczoczarne włosy.

– Niestety, nie. I nie spodziewamy się go w najbliższym czasie. – Mój prążkowany jedwab i biała organza znamionowały kogoś więcej niż zwykłą urzędniczkę, co pozwoliło mi opanować nerwy. – Jestem jego osobistą asystentką. Czy mogę panu służyć pomocą? Niech pan raczy spocząć.

Opadł ciężko na krzesło, jakby był skrajnie wycieńczony. Cudownym zrzędzeniem losu – i na przekór własnemu gapiostwu – w pokoju ponownie zjawił się Joddy, niosąc tacę z wodą z lodem w dzbanku i szklankami. Napełniłam jedną z nich. Interesant przyjął chłodny napój z wdzięcznością, pragnąc zapewne zapanować nad wzburzeniem i ukoić zachrypnięte gardło. Powróciłam za biurko.

– Poproszę o imię i nazwisko – powiedziałam, unosząc ołówek nad kartką.

Brwi rozmówcy poszybowały w górę niczym dwa skrzydła kruka.

– Moja żona, trzecia córka earla Chiplej-on-Wye, zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. Policja okazała się bandą nieudaczników, a ja nie mam czasu na kolejne bzdurne wyjaśnienia. Wolałbym rozmówić się z doktorem osobiście.

– Doskonale pana rozumiem. Jednakże zostałam przez mojego pracodawcę upoważniona do podejmowania pierwszych kroków w nagłych przypadkach. A teraz bardzo pana proszę o podanie faktów. Imię i nazwisko?

Wyprostował się na krześle jak struna.

– *Duque* Luis Orlando del Campo z katalońskiego rodu królewskiego.

Aha! Hiszpański diuk!

– Jestem zaszczycona, mogąc zaoferować jego książęcej mości swoje usługi – wyrecytowałam automatycznie. Jak każde dziecko wychowane w Anglii, znałam na pamięć całą hierarchię – król, książę, markiz, earl, baron – oraz wymagane formy grzecznościowe: wasza królewska mość, wasza książęca mość, panie markizie, panie earlu, panie baronie. W przypadku rzadziej spotykanych tytułów, jak cesarz, hrabia, rycerz, młodszy syn i tym podobne, trzeba było zajrzeć do podręcznika etykiety. – A jaki...?

– Moja *duquesa* – przerwał mi z jeszcze bardziej ważną miną – to prześwietna lady Blanchefleur, słynąca na całym świecie z subtelnej urody, delikatny kwiat na kruchej kanwie kobiecości.

– Doprawdy – zamruczałam, zaskoczona jego poetyckim opisem, choć imię jego żony rzeczywiście tłumaczyło się z francuskiego jako „biały kwiat”. – A zatem waszą książęcą mość dotknęło nieszczęście zaginięcia żony?

– Została z niewyjaśnionych przyczyn uprowadzona, tak przynajmniej uważamy, w trakcie swego codziennego spaceru w towarzystwie dam dworu. – Jego twarz pobladła pod czarną czupryną.

– A kiedy dokładnie dopuszczono się tego haniebnego czynu?

– Wczoraj około drugiej po południu.

Domyśliłam się, że biedak całą noc nie spał, co tłumaczyłoby jego wymizerowany stan.

– A gdzie konkretnie miało to miejsce?
– Kiedy panie przechadzały się w dzielnicy Marylebone. Zdaje się, że na Baker Street.
– Ach! – wyrwał mi się okrzyk. – Hm. – Baker Street! Ulica, przy której mieszkał i urzędował mój ukochany i podziwu godny brat Sherlock. Gdybym miała zająć się śledztwem w tej sprawie, oznaczałoby to wizytę w tamtej okolicy, a co za tym idzie, ryzyko spotkania. – No tak, Baker Street. Tak. A w którym dokładnie miejscu?

– Na wysokości Dorset Square...

Ojej. Tuż przy mieszkaniu Sherlocka.

– ...nieopodal stacji metra. – *Duque* wypowiedział to ostatnie słowo z niesmakiem typowym dla dżentelmena gardzącego owym nowomodnym, ciemnym i smrodliwym środkiem lokomocji.

Wprawdzie dym uchodzący z komina lokomotywy trafiał do znajdującej się za silnikiem komory, z której uwalniano go w przeznaczonych do tego celu szybach wentylacyjnych, niemniej londyńskie metro cuchnęło gęstymi spalinami oraz wszechobecnym zapaszkiem niedomytej ludzkości.

Czy mój brat korzystał kiedykolwiek z tego środka transportu? Nie przypominam sobie, bym trafiła w zapiskach doktora Watsona na wzmiankę o tym, że prześwietny detektyw skierował kiedykolwiek swoje kroki na stację metra leżącą rzut kamieniem od jego miejsca zamieszkania.

– A teraz proszę waszą książęcą mość – zwróciłam się do mego arystokratycznego petenta stanowczym tonem – o dokładne opisanie całego zajścia.

– Głupota i strata czasu. – *Duque* Luis Orlando del Campo uniósł na znak protestu dłoń w rękawiczkach z koźlęcej skórki. – Nie mam zamiaru powtarzać w nieskończoność tego samego jak dziecko na lekcji. Żądam, by wezwała tu pani doktora Ragostina!

Oszczędzę łaskawemu czytelnikowi pełnego opisu pojednawczego przekonywania, pojenia wodą i mitrżenia cennego czasu, nieodzownych do wyciągnięcia z jego książęcą mością chaotycznej relacji z przebiegu wydarzeń. Koniec końców okazało się, że jego małżonka, jej książęca mość *duquesa* del Campo, z niewyjaśnionych przyczyn postanowiła zejść w czeluści podziemnej stacji przy Baker Street. Jedna z dam dworu odważyła się jej towarzyszyć, druga pozostała na górze schodów. Po pewnym czasie pierwsza z dam wybiegła na powierzchnię w stanie wielkiego wzburzenia. Gdzie się podziała jaśnie pani? Obie ruszyły na poszukiwania, jednak z mizernym skutkiem. Arystokratyczna piękność, *duquesa* Blanchefleur del Campo zniknęła bez śladu.

Doprawdy, frapująca sprawa.

– Policja zarządziła poszukiwania, jak się domyślam?

Książę uniósł gwałtownie głowę, ukazując zboląłą twarz.

– Tak, przetrząsnęli całą okolicę, ale żony nie znaleźli.

– Czy mogła wyjść na powierzchnię innymi schodami?

– Zapewniono mnie, że takowe nie istnieją. A nedorzecznocią byłoby sądzić, że zeskoczyła na tory i poszła w głąb tunelu.

Rzeczywiście, to nedorieczna myśl. Dobrowolnie skazywać się na towarzystwo szczurów i ryzykować życie pod kołami lokomotywy?

– A czy jest możliwe, że z jakiejś przyczyny wsiadła do wagonu?

– W chwili jej zaginięcia przez stację nie przejeżdżał żaden pociąg. Obie damy dworu są tego najzupełniej pewne, a ich słowa potwierdza rozkład jazdy.

– A jednak, gdyby księżna została na peronie albo zdecydowała się wrócić na górę, któraś z nich z pewnością by ją zauważyła.

– No właśnie! Nie mogłyby jej przeoczyć! Jestem na skraju załamania.

– Czy wpłynęło żądanie okupu?

– Jeszcze nie. Ale spodziewam się go w każdej chwili. Nie dość, że sam jestem zamożny, to jeszcze ojciec żony, earl, jest wielkim bogaczem... A jednak tak dziwaczne porwanie nie mieści mi się w głowie! W jaki sposób ją uprowadzono? Dlaczego nikt tego nie zauważył? I czy ktoś mógłby się spodziewać, że osoba o jej pozycji towarzyskiej zapuści się w takie miejsce, choćby za sprawą przelotnego kaprysu?

– A jakież to mógł być kaprys, wasza książęca mość?

– Nikt mi jeszcze nie zdołał tego w zadowalający sposób wyjaśnić. Jej damy do towarzystwa wpadają w histerię, kiedy je o to pytam, inspektor policji także niewiele z nich wyciągnął. Cały świat zwariował. Sam zaraz popadnę w obłęd! Udałem się do samego Sherlocka Holmesa...

Serce skoczyło mi w piersi.

– ...ale ten wyjechał do jakiegoś niedorzecznego miejsca na wsi i dopiero dzisiaj ma powrócić. Doprawdy... – Roztrzęsiony książę Luis Orlando del Campo wyciągnął z kieszonki kamizelki olśniewający złoty zegarek i zerknął na cyferblat. – W tej chwili powinien już na mnie czekać. Muszę iść. – Podniósł się. – Proszę przekazać doktorowi Ragostinowi...

– Wasza książęca mość! – przerwałam mu, starając się, by mimo kotłujących się w mej głowie myśli mój głos miał spokojne brzmienie. – Jestem pewna, że pan doktor zechce porozmawiać z damami dworu pańskiej małżonki.

– Obie są zrozpaczone.

– To zrozumiałe. Jednak muszą złożyć zeznania, a ponieważ miały opory, by wyznać prawdę panu i inspektorowi policji, wątpię, by zechciały zdobyć się na szczerść wobec kolejnego nieznanego im mężczyzny.

– Tak, ma pani rację – wymamrotał półprzytomnie, błędząc niewidzącymi oczyma po pomieszczeniu, by po chwili wbić we mnie wzrok, jakbym odkryła przed nim prawdę objawioną. – Może lepiej byłoby, gdyby pytania zadała im przedstawicielka ich własnej płci. Czy zechciałyby pani podjąć się tego zadania?

– Oczywiście. – Z trudem powstrzymałam chęć skomplementowania jego bystrości, która podsunęła mu rozwiązanie będące od początku moim zamysłem. – Czy wasza książęca mość zechce mi zdradzić swój adres?

ROZDZIAŁ TRZECI

Aż zamrugałam z zaskoczenia na widok mieszczącej się przy Oakley Street rezydencji księcia Luisa Orlando del Campo. Był to budynek w stylu neomauretańskim, nietypowy dla okolic nabrzeża. W całym Londynie było zatrzęsienie obiektów architektonicznych utrzymanych w stylu neohelleńskim, georgiańskim, włoskim, francuskim, szwajcarskim, bawarskim i tak dalej, jakże często sąsiadujących ze sobą w urągający dla oczu sposób – jednak domy w stylu mauretańskim trafiały się nader rzadko. Gmach wzniesiono z żółtej cegły o stonowanych i gustownych odcieniach ochry i oliwki, jednak ktoś uznał, że należy przełamać monotonię ścian cynobrowymi detalami i turkusowym dachem. Pod biało-czerwonymi łukami typu „ośle siodło” połyskiwały rubinowe i szmaragdowe szybki. Prowadzące do wejścia ścieżki wyłożono szachownicą białych i czarnych płyt ceramicznych. Całości dopełniały niezliczone okna wykuszowe oraz wieżyczki, które w miejsce zwykłych daszków zwieńczono pokrytymi brązem kopułkami, jakby żywcem przeniesionymi z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. Kiedy podeszłam do drzwi wejściowych i ujęłam kołatkę w kształcie szczyrzącego się w uśmiechu dzinna, podświadomie szykowałam się na kolejne niespodzianki. Czy otworzy mi kamerdyner w turbanie?

Nie. W drzwiach pokazała się całkiem zwykła służąca w sukience z płótna w kwiatki. Wpuściła mnie do środka i podsunęła srebrną tackę, na której złożyłam wizytówkę doktora Ragostina z odręcznym dopiskiem: „Pani Johnowa Jacobson”.

– Czy pan Sherlock Holmes już przybył? – spytałam.

– Jeszcze nie, proszę pani. Lada chwila powinien się zjawić.

Ojej. Jeśli rzeczywiście tu przyjdzie, trzeba będzie opracować plan szybkiej ucieczki.

Służąca udała się na górę, by dostarczyć wizytówkę damom dworu. Nie pokojówkom, nie paniom do towarzystwa, tylko ni mniej, ni więcej damom dworu. „Hm... To będzie niezwykle ciekawe”, rozmyślałam, czekając w fascynującej, łukowato sklepionej sieni, której pokryte rzeźbionymi arabeskami ściany zdobiły niezliczone nisze. Nie ustawiono w nich jednak, jak to było w modzie, okazów drezdeńskiej porcelany. We wnękach czaiły się fikuśne ceramiczne i mosiężne naczynia w kształcie wszelkich możliwych zwierząt: słoni, lwów, bocianów, walczących kogutów, delfinów, krokodyli, kotów... Nie, nie... Z zaskoczeniem skonstatowałam, że koty były żywe. Urodziwe, smukłe koty domowe w typie orientalnym wypoczywały wśród eksponatów i przechadzały się, balansując beztrąsko na rzeźbionych w drewnie krzywiznach. Oszołomiona taką dawką egzotyki spodziewałam się, że służąca powie mi za chwilę do seraju.

W istocie, buduar nie zawiódł moich oczekiwań. Ponad kremowymi lamperiami ułożono misterną mozaikę z olśniewających żywością kolorów płytek w kształcie gwiazdek. Pod niskimi łukami sufitu biegła bordiura z wyobrażeniami stylizowanych przysadzistych dropiatych koni. Na jednej ze ścian pyszniła się kolekcja oprawnych w kość słoniową perskich miniatur. Podłogę wyścielał miękki, tkany w zawile wzory turecki kobierzec. Całość wywołała przyjemne złudzenie, że oto za sprawą czarów przeniosłam się do odległej krainy.

Czekające na moje przybycie dwie damy – o pociągłych twarzach, wąskich wargach i bladych źrenicach – okazały się jednak typowymi przedstawicielkami brytyjskiej arystokracji. Najprawdopodobniej były młodszymi córkami jakiegoś wicekróla lub barona. Pierwszą przedstawiono mi jako Mary Hambleton, drugą jako Mary Thoroughcrumb. Panna Hambleton miała na sobie suknię z turkusowej satyny *merveilleux* z miedzianozłotymi zdobieniami, panna Thoroughcrumb odziana była w brzoskwiniową taftę *chiné-pompadour* i różowe muśliny. Przepych ich ubiorów sprawił, że poczułam się w swojej skromnej, acz gustownej princesce jak szara myszka. A w głowie kołatało mi pytanie: „Jeśli tak ubierają się na co dzień damy dworu księżnej, to jak musiała się wystroić ich chlebodawczyni, udając się na przechadzkę?”

Zostawiłam sobie to pytanie na później, ponieważ obie panny Mary usiadły, dając mi znak zdawkowym gestem, bym zajęła trzeci fotel. Obie miały nieszczęśliwe miny i zapuchnięte, czerwone od płaczu oczy.

– To dla nas szczególnie bolesne chwile – oznajmiła Mary w Turkusowej Satynie, kiedy wniesiono herbatę (służąca podała mi filiżankę na końcu).

Obie damy siedziały sztywno wyprostowane, dając do zrozumienia, że wyświadczają mi ogromną łaskę, przyjmując kogoś takiego jak ja.

– Rozmawialiśmy już z policją – dodała Mary w Tafcie nadąsanym tonem. – Czego chciałby się dowiedzieć ten pani... doktor Ragostin?

Wczuwszy się w rolę, otworzyłam swój mały neseserek, zsunęłam letnie nankinowe rękawiczki i wrzuciłam je do środka, po czym wyjęłam bloczek papieru i ołówkę, sposobiąc się do notowania.

– Po pierwsze pragnąłby poznać cel, w którym panie i ich szlachetnie urodzona chlebodawczyni udały się w okolice Marylebone.

– Trudno tu mówić o celu jako takim – prychnęła Turkusowa Satyna. – Nasza kochana Blanchefleur nie musi podawać przyczyny, jeśli pragnie się dokądś udać.

„Nasza kochana Blanchefleur”? Nie „nasza droga pani” czy „nasza droga chlebodawczyni”? Zdaje się, że księżnę i jej damy dworu łączyła niezwykła zażyłość.

– Jej książęca mość była... to znaczy jest... – dukąła dama dworu – niespokojnym duchem...

– Młodość – wpadła jej w słowo druga Mary, choć sama miała niewiele ponad dwadzieścia lat – i niewinna żądza przygód. Monotonia nieustannego życia pod kloszem bardzo jej doskwiera, więc skoro niewinny kaprys mógł jej dać chwilę szczęścia... – Jej blisko osadzone oczy wypełniły się łzami.

„Obie czują autentyczną więź ze swoją pracodawczynią”, zanotowałam w pamięci, zaskoczona ich słowami.

– Niewinny kaprys – podjęłam wątek.

– Tak. Wyraziła życzenie poznania wszystkich zakątków miasta, oczywiście poza tymi najbardziej obskurnymi. Ktoś jej kiedyś powiedział, że można rozpoznać poszczególne dzielnice po kształcie latarni ulicznych...

Tak było w istocie. Mnie także fascynowała obserwacja różnic w zdobieniach elementów oświetleniowych. Nagle poczułam, że młoda żona księcia Luisa Orlando del Campo staje mi się bliska.

– ...i lubiła się im przyglądać, więc niemal codziennie podjeżdżałyśmy gdzieś powozem, żeby przechadzać się ulicami.

– Doskonale to rozumiem i wiem, że to ciekawe doświadczenie – zapewniłam obie Mary. – A zatem wczoraj zapuściły się panie na Baker Street? A potem na stację metra?

– Tak, ale, rzecz jasna, żadna z nas nie zeszlaby pod ziemię.

Oczywiście. Boże uchowaj, nigdy. Po co narażać delikatne noski na kontakt ze smrodem cygar, odorem piwa czy wonią wędzonego śledzia.

– Przechodziliśmy tylko obok, ale przy wejściu na stację zaczepiła nas pożałowania godna starowina...

– Zaczęła chlipać i stękać, że opuchnięte stopy utrudniają jej chodzenie i boi się, że nie zdąży na pociąg. Teraz wiem, że była jedną z osób zamieszanych w tę podłą intrygę – przerwała towarzysze Turkusowa Satyna. – Ale wówczas niczego nie podejrzewałyśmy, a nasza najdroższa Blanchefleur...

Obie jak na komendę skierowały oczy w znajdującą się za mną przestrzeń. Poczułam, że wypada mi się odwrócić i podążyć za ich wzrokiem. Na ścianie wisiał naturalnej wielkości portret wyjątkowo urodziwej młodej kobiety. Jej jasne włosy, delikatna główka, a zwłaszcza pełne wyrazu i współczucia oczy pozostawały w kontraście z bogatym strojem z ciężkiego czerwonego aksamitu gęsto haftowanego złotem.

– Czy to ona?! – wykrzyknęłam mimo woli, ponieważ po spotkaniu z księciem wyobraziłam sobie, że jego żona będzie równie egzotycznym i egzaltowanym stworzeniem, choć przecież wiedziałam, że to córka brytyjskiego earla i jego francuskiej żony.

– Tak, to nasza ukochana pani. Portret nie oddaje w pełni jej urody – poświadczyła Tafta podniosłym tonem, zdradzającym skrywane uwielbienie. – Ma twarzyczkę anioła i serce kochanego, melancholijnego dziecka. Życzliwszej i łagodniejszej duszy...

– ...ze świecą by szukać – wtrąciła Satyna. – Cierpliwe, świątobliwe jagniątko... – Po tych słowach, ku mojemu zażenowaniu, wyniosła młoda kobieta rozpląnęła się we łzach.

– No już, już – uspokajała ją druga. – Skąd mogłyśmy wiedzieć? I jak mogłyśmy temu zapobiec?

– Odwróciła się w moją stronę, by wyjaśnić: – Obydwie poczuwamy się do winy, chociaż wszystko

potoczyło się tak szybko...

– Ta bezzębna starucha ze szczeciną na brodzie! – wydusiła z siebie, łkając, Satyna.

– Zawołała na naszą panią. – Tafta zmieniła ton, usiłując naśladować cockneyowski akcent. – O, święta istoto, zesłana z nieba na ziemię, zechcesz chyba pomóc starej kulawej kobiecie, co? Te schody są okropnie strome i jeśli się z nich zwalę, to na pewną śmierć, ale widzę po paninej anielskiej buziuchnie...

– Wystarczy! – zawołała druga Mary zduszonym głosem.

– Więcej i tak nie pamiętam – odparła Tafta – bo kochana, impulsywna Blancheffleur od razu rzuciła się starej żebracze na pomoc i straciłyśmy je obydwie z oczu.

Chociaż damy dworu się do tego nie przyznały, idę o zakład, że stanęły w osłupieniu na chodniku.

Chcąc im pomóc, spytałam:

– Jak ta staruszka wyglądała?

– Jak ropucha w koszmarnie brzydkim, znoszonym, zdefasonowanym słomkowym kapeluszu – warknęła Satyna, powstrzymując potok łez. – Powiedziałam do Mary: „Idź poszukać Blancheffleur, a ja postoję tu na warcie, na wypadek gdybyś ją, nie daj Boże, przeoczyła”.

Domyślam się, że nie obyło się bez protestów, co jednak pominęłyśmy milczeniem. Prawdopodobnie towarzyszka zaginionej nie od razu odważyła się iść na dół.

– Biegałam, szukałam wśród tłumu podejrzanych i ciemnych typów, zdeptałam peron wzdłuż i wszerz, ale Blancheffleur nigdzie nie było! Zajrzałam nawet do schowka na miotły pod schodami...

– Po których, klnę się na wszystkie świętości, nie wróciła na górę – sarknęła Satyna – więc musiałaś ją w jakiś sposób przeoczyć.

– Ale przecież wszędzie zaglądałam!

– A staruszka? – spytałam, zanim zdążyły się pokłócić.

– Zniknęła, jakby nigdy jej tam nie było! Jak kamień w wodę! Jak nasza kochana Blancheffleur.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Obie panny były tak zrozpaczone, że okazałabym się istotą bez serca, gdybym dłużej tam została. Schowawszy notatki do neseserka, wstałam, by się pożegnać. I wtedy z dołu dobiegł podniesiony i pełen irytacji męski głos.

– ...nagłówki w każdej gazecie. „Urowadzona piękność z wyższych sfer”, „Szokujące zniknięcie córki earla”, „Porwanie żony kastylijskiego arystokraty”!

To był głos, którego nie mogłabym pomylić z żadnym innym.

Głos mojego brata Sherlocka!

– I twierdzicie, że w porannej poczcie niczego nie było?!

Odpowiedź, której nie dosłyszałam, była niewątpliwie przecząca.

– Boję się, że cały ten raban, którego narobili dziennikarze, wystraszył sprawców. – W głosie Sherlocka czuć było poruszenie. – A dopóki nie otrzymamy żądania okupu, niewiele da się zdziałać.

Zaskoczyły mnie te słowa, ponieważ sama miałam mnóstwo pomysłów na to, co można by zrobić. Jednak dopóki Sherlock przebywał w rezydencji księcia, musiałam pozostać w buduarze.

– Eee... hm... – Odwróciłam się do dwóch panien Mary. – Czy mogłyby mi panie opisać, jak jej książęca mość była na owym feralnym spacerze ubrana?

Zrobiły to z wielką ochotą, nie szczędząc szczegółów.

– Miała na sobie swoją najnowszą suknię spacerową od Redferna, z najmodniejszymi obecnie w Paryżu rękawami!

– Bufiastymi, rzecz jasna – dopowiedziała druga Mary z wyższością, jakbym mogła sobie z tego nie zdawać sprawy.

Kiedy tiurniury odeszły w zapomnienie, w damskich strojach natychmiast rozrosły się do granic absurdu górne partie. Widać brak jakichkolwiek wybrzuszeń był nie do pomyślenia. Musiały się pojawić jak nie tu, to gdzie indziej.

– Z jedwabnej mory mieniającej się jak gołębia szyja, plisowanej w kontrafałdy, przepasanej szeroką szarfą, wyszywaną białymi koralikami w przepiękny deseń w stylu *art nouveau*...

Art nouveau? Chyba zrobiłam wielkie oczy, ponieważ jedna z dam od razu zakrzyknęła:

– Chwileczkę! Zdaje się, że mamy zdjęcie! – I obie zaczęły buszować w szufladach komody wypełnionych po brzegi bardzo szykownymi wstydliwymi częściami garderoby.

W pewnej chwili na dywan wypadła jedna z wyprasowanych na sztywno chusteczek do nosa. Podniosłam ją, podziwiając kunsztowne obszycie z weneckiej koronki oraz szkarłatny monogram obwiedziony złotą nicią: DdC.

– *Duquesa del Campo*? – odgadłam, wręczając chusteczkę Taftowej Mary.

– W rzeczy samej. No gdzież jest ta fotografia? – westchnęła Satyna.

Kiedy rozpoczynały swoje poszukiwania, byłam już na nogach. Korzystając z tego, pozwoliłam sobie przejść się od niechcienia po pomieszczeniu, podziwiając jego luksusowy wystrój: paprocie w ozdobnych donicach, przeszklone regały wypełnione książkami, olbrzymie orientalne wazony, w których zamiast kwiatów ułożono pawie pióra, przeurocze inkrustowane biureczko z różanego drewna...

Na jego blacie spoczywał niedokończony list – spisany niebieskim atramentem na eleganckim papierze opatrzonym monogramem DdC. Ciekawiła mnie ogromnie jego treść, jednak kierując się w tamtą stronę, udawałam, że przechadzam się bez określonego celu.

Potrafię rozpoznać wiele cech danej osoby na podstawie charakteru jej pisma. Litery stawiane przez Blanchefleur były zadziwiająco proste, pozbawione zbędnych zawijasów i starannie wykaligrafowane. Gdyby nie to, że były drobnutki, można by je uznać za pisane przez dziecko.

Treść listu również mnie zadziwiła. Nie wspominałam chyba jeszcze, że wystarczy mi jeden rzut oka, by przyswoić sobie ze zrozumieniem całostronicowy tekst. Możliwe, że zdobyłam tę umiejętność, realizując w dzieciństwie ambitny cel przeczytania od deski do deski wszystkich tomów *Encyklopedii Brytyjskiej*. Oczywiście, nie jestem w stanie zacytować treści listu książęcej słowo w słowo, ale brzmiał on mniej więcej tak:

Najdroższa Mamo,

ufam, że list mój zastanie Cię w dobrym zdrowiu, podobnie jak i kochanego Tatkę. Mam nadzieję, że z nastaniem ciepłych letnich dni reumatyzm nie daje mu się zbyt w znaki. Bardzo Mamie dziękuję za przesłany mi przepis na węgorki z kabaczkami w miętowym sosie. Objaśniłam go szczegółowo kucharce i liczę na to, że wkrótce wypróbujemy nowe danie.

Najważniejszą – ba, chyba jedyną – nowiną jest ta, że mój drogi mąż, uległszy naleganiom Mary T. i Mary H., obstał dla mnie suknię u Redferna. Jest prześliczna, rzecz jasna, i obiecuję, że w dalszych słowach listu dokładnie ją opiszę. Czeka mnie także przymiarka w Paryżu u Wortha, a wiesz przecież, jak nie lubię tego typu ekstrawagancji. Czy dokonałam kiedykolwiek czegoś aż tak dobrego lub pożytecznego, by zasłużyć na tyle bogactw? Wiem, Tatko z pewnością zapewniłby mi teraz, że dobrze nam się powodzi, ponieważ taki jest zamysł Pana Boga, i że biedacy żyją w nędzy, ponieważ Pan przeznaczył im taki los – albo ponieważ są leniwi. Jednak nie potrafię tego przyjąć do wiadomości. Widuję nędzarzy na ulicach – w Londynie nie sposób wyjść z domu, żeby nie natknąć się na ślepych żebraków, kalekich żołnierzy, kędzierzawe dziewczęta sprzedające bukietki, obdarte Cyganiatka – i głęboko im współczuję. Wciskam im w ręce miedziaki, za co moje kochane damy mnie strofują, jednak z dobroci serca nie mówią o tym mojemu mężowi. Wiesz dobrze, jak porywczy jest mój kochany Luis. Albo ryczy ze złości jak smok, albo całuje mnie tak głośno, że aż mi wstyd. Sądziłam, że żar jego uczuć po latach przygaśnie, jednak tak się nie stało. A ja czuję się niegodna jego miłości, ponieważ nie potrafię dać mu potomka. Oczywiście nie powinnam popadać w rozpacz czy stroić fochów, ale myśl, że suknia od Redferna mogłaby mi poprawić samopoczucie, jest dla mnie niepojęta.

Wybacz mi, Mamo, jeśli odbierzesz to jako wyraz niewdzięczności. Nie bardzo wiem, jak opisać burzę uczuć...

Widać rzeczywiście miała kłopoty z określeniem swego stanu ducha, ponieważ odłożyła pióro, by dokończyć list w późniejszej porze. Sama też nie potrafiłam dojść do ładu z własnymi odczuciami. Spodziewałam się, że Blanchefleur to rozpieszczona, godna pogardy arystokratka. Tymczasem z listu wynikało, że ma serce i sumienie. Ciekawe, czy gdybym ją osobiście poznała, poczułabym do niej sympatię?

– A! Jest! – zawołała Satynowa Mary.

Pospieszyłam w jej stronę, a ona wręczyła mi sporej wielkości karnet, który zaraz otworzyłam.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Szczupła twarzyczka księżnej wydawała się onieśmielona i zagubiona, tonąc w obfitości gęstych złotorudych włosów spływających na olśniewający przepychem ubiór. Spoglądała na mnie żałośnie sponad niewiarygodnie suto marszczonego jedwabnego kołnierzyka, z miękko układającą się kokardą przewiazaną nieco z boku. Podobna kokarda znajdowała się nieco niżej... Wielkie nieba, co za kibić! Wpatrywałam się w nią z niedowierzaniem.

– Zdaje mi się, że jej książęca mość jest posiadaczką najwęższej znanej mi talii.

– Bardzo być może! – odparła Tafta z dumą. – Od dzieciństwa nasza droga Blanche fleur nosi gorset z łyżkowymi bryklami.

O niebios! Gorset sięgający od pach po biodra z „łyżkami” z pełnej stali, niwelującymi wszelkie wybrzuszenia poniżej linii biustu. I to noszony przez dziecko! Z trudem mogłam sobie wyobrazić katusze, jakie musiała przechodzić. Sama nosiłam gorset w imię wyższej konieczności, by ukrywać w nim rozmaite przedmioty (na przykład sztylet). Choć nigdy ciasno go nie sznurowałam, to z utęsknieniem czekałam na wieczór i możliwość zdjęcia tego sztywnego pancerza.

– I nosi go bez przerwy, nawet idąc spać.

Duquesa nie zdejmowała gorsetu, kładąc się do łóżka? No tak, szlachetnie urodzona dama musiała mieć drobnitką kibić. Mimo wszystko... co za koszmar.

– Oczywiście jeśli nie była w stanie błogosławnym.

„W stanie błogosławnym”?

– Więc...?

– Niestety, dwa razy straciła dziecko.

Nic dziwnego!

– Bardzo to przeżyła. Poronienia, równie bolesne jak poród, bardzo nadwerżyły zdrowie jej książęcej mości.

– Tak sobie myślę – powiedziała Mary w Satynie, odbierając mi zdjęcie – że pan Sherlock Holmes powinien to zobaczyć. Chyba słyszę na dole jego głos.

O, nie... Udając, że nie słyszałam jej ostatnich słów, wymamrotałam:

– Jej książęca mość miała na spacerze rękawiczki, jak mniemam?

– Oczywiście, z białej koronki.

– A co trzymała w dłoniach, żeby dopełnić całości? – Prawdziwa dama nie wychodziła na przechadzkę z pustymi rękoma. Zawsze miała przy sobie woreczek z robótką, mufkę, wachlarz albo...

– Parasolkę z białej koronki obszytą falbaną z jedwabnej mory w kolorze sukni – wyjaśniła Tafta.

– A w drugiej dłoni trzymała chusteczkę.

Trochę zbiło mnie to z tropu. Chusteczka jest atrybutem niezamężnej panny. Można ująć ją w palce, tak by zwisała wdzięcznie, rozkładając się wachlarzowato, a kiedy na horyzoncie pojawi się atrakcyjny przedstawiciel płci męskiej, można ją równie wdzięcznie upuścić na ziemię.

– Blanche fleur musiała ją nosić – dodała Satyna w odpowiedzi na moje niewypowiedziane głośno pytanie. – Co jakiś czas przykładła ją do noska, ponieważ dokuczała jej lekka astma. Dokucza, rzecz jasna. – Wróciła do dawnego oschłego tonu. Widać było, że jest zła na siebie i obrażona na mnie.

– Odprowadzę panią do wyjścia.

Czyli nasza rozmowa nagle dobiegła końca. Ale dlaczego nie zawołała służącej, żeby mnie odprawić?

– Proszę ze mną. – Ruszyła w stronę drzwi, ściskając w dłoniach fotografię.

O, przekłete fatum, chciała pokazać zdjęcie Sherlockowi Holmesowi. Osobiście. I oczywiście nie mogła z tym zaczekać.

Bogowie, co robić?! Kiedy podążałam za wyniosłą damą dworu ku schodom, mój umysł zaczął się miotać niczym szczur w pułapce. Gdyby Sherlock zauważył moją obecność, konsekwencje byłyby oplakane. Choć starałam się uspokoić, że przecież nie rozpozna mnie w szykownym stroju i kapeluszu, to jednak istniało ryzyko, że zechce się dowiedzieć, kim jestem. A jeśli któryś z domowników powie mu, że jestem asystentką doktora Ragostina... Nie. Wykluczone. Nie wolno do tego dopuścić. Sherlock nie

może się dowiedzieć o mojej obecności.

Kiedy dotarliśmy do zakrętu schodów, dostrzegłam w sklepionej sieni sylwetkę mojego brata. Stał zajęty rozmową z księciem Luisem Orlando del Campo.

– Mam nadzieję, że zdoła pan rozniecić jakieś światełko w tych straszliwych mrokach, które spowiły moją rodzinę.

Sherlock słuchał ze splecionymi za plecami dłońmi i pochyloną głową, starając się sprawiać wrażenie osoby głęboko przejętej i przepełnionej współczuciem. Z pewnością marzył, by jak najszybciej sięgnąć po leżące na konsolce kapelusz, rękawiczki i laseczkę, a następnie opuścić progi domu.

Stoliczek o wrzecionowatych nóżkach znajdował się tuż przy schodach, naprzeciwko drzwi wejściowych.

Zanim w mojej głowie dojrzał plan, oczy zdążyły już wypatrzeć, a dłonie pochwycić to, co było nieodzowne do jego realizacji. Po balustradzie przechadzało się właśnie kilka kotów. Chwycałam największego z nich (smukłego i płowego jak lew) pod brzuch i wsadziłam sobie pod pachę, przytrzymując jednocześnie dwoma palcami neseserek. Drugą dłonią zaczęłam gładzić płaską jak u węża głowę zwierzęcia, żeby przedwcześnie nie podniosło alarmu.

Zbiegająca przede mną z szelestem halek i zaaferowana obecnością słynnego detektywa Satynowa Mary nie zauważyła moich poczynań. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Zniosłam kota bezpiecznie na parter.

Chociaż zazwyczaj dobrze traktuję zwierzęta, tym razem złamałam zasady i chwyciłam egzotycznego mruca za ogon. Zależało mi bowiem na tym, żeby jak najdobitniej wyraził swoje niezadowolenie. Zamachnęłam się i rzuciłam go (pochlebiam sobie, że niezwykle celnie) na blat stoliczka.

Powstałe chwilę później zamieszanie przerosło moje najśmielsze oczekiwania. Nieszczęsny przedstawiciel kotowatych nie dość, że wrzasnął jak kopnięta przez krowę dójka, to jeszcze – mimo wysuniętych pazurów – zaliczył długi ślizg po woskowanej powierzchni blatu. Należące do mojego brata cylinder, rękawiczki i laseczka wylądowały na podłodze, a sam stolik grzmotnął o ziemię.

Wywnioskowałam to po odgłosach, ponieważ korzystając z tego, że wszyscy obecni w holu odwrócili się do mnie plecami, zdążyłam już wymknąć się na zewnątrz. Usłyszałam, jak ktoś – prawdopodobnie sam *duque* – wrzeszczy:

– Przeklęte kociska!

Potem utyskiwał jeszcze, że wiecznie wszystko niszczą, reszty jednak już nie słyszałam. Przykre, jak rzadko mogę podziwiać efekty swoich poczynań, ponieważ w najciekawszym momencie muszę się zazwyczaj ewakuować.

Ale nie narzekajmy. Kiedy oddaliłam się od rezydencji i skręciłam w pierwszą przecnicę, odetchnęłam z ulgą. Ani mój brat, ani żadna inna osoba z pewnością o mnie w tej chwili nie myśleli.

Wciąż jednak ciążyła mi świadomość, że biedna młoda *duquesa* zaginęła w podziemiach miasta.

Niewielu przedstawicieli klas wyższych, ba, także i średnich, zdawało sobie sprawę z tego, że Londyn to w istocie dwa różne miasta – jedno istniejące na powierzchni i drugie ukryte pod nią. W dawnych czasach teren zajmowany dziś przez metropolię przecinały liczne dopływy Tamizy. W miarę rozwoju miasto rozbudowywało się nad korytami rzek, zamieniając je w ścieki, aż do czasu wielkiej epidemii cholery, po której zbudowano nowy system wodociągów odprowadzających miejskie nieczystości do morza. Stare rzeki nie przestały jednak istnieć. A potem powstało metro, co wiązało się z drążeniem tuneli pod tory, budową podziemnych pomieszczeń i przejść technicznych. To istny cud, że na tym przypominającym ser szwajcarski gruncie rozrastało się wielkie miasto. Z pewnością pod ziemią kryły się tajne drogi umożliwiające złoczyńcom uprowadzenie zamożnej damy dla okupu.

Musiałam zbadać topografię stacji Baker Street.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Udałam się tam metrem, rzecz jasna. Nasz wielki detektyw stał jeszcze zapewne na progu mauretańskiej rezydencji księcia del Campo, przywołując dorożkę, kiedy ja znalazłam się już na peronie stacji Baker Street, na czas swoich poszukiwań powierzwszy neseserek opiece zawiadowcy.

Przystanek Baker Street to jedna z najstarszych stacji metra, toteż wiodły do niej tylko jedne schody. Na peronie dominowały metal i mrok. Migotliwe płomyki gazowych lamp wiszących pod sklepieniem nie były w stanie rozproszyć ponurych ciemności. Wszystkie metalowe elementy wyposażenia stacji były ażurowe: poręcze, schody, nawet ściany dyżurki zawiadowcy – co raczej wykluczało możliwość ukrycia się. Jednak po peronie kręciło się mnóstwo podejrzanych indywiduów, a spora jego część tonęła w cieniu. Co więcej – i co gorsza – turkot drewnianych i metalowych kół o kocie łby znajdującego się nad moją głową Dorset Square, sprawił, że poczułam się uwięziona wewnątrz ogromnego grającego bębna. Do tej pory, korzystając z tego środka lokomocji, wbiegałam truchcikiem na stację, by możliwie jak najszybciej zająć miejsce w wagonie, minimalizując tym samym czas obcowania z masami ludzkimi i wdychania gryzących wyziewów. Ale teraz, mimo chwilowej nieobecności ryczącej lokomotywy, otaczał mnie zewsząd zwielokrotniony przez echo przeraźliwy łoskot, w którym utonęłoby każde wołanie o pomoc. Doprawdy, ktoś mógłby uśmiercić w ciemnym zakamarku kobietę i nikt by się nawet nie zorientował, co się stało. Zwłaszcza gdy większość porządných obywateli myślała tylko o tym, by wsiąść do pociągu.

Równie przerażające i jeszcze bardziej prawdopodobne było to, że bandyci mogli nakłonić lub zmusić samotną kobietę do zejścia na tory i udania się w jedną bądź drugą stronę tunelu.

Ponieważ *duquesa* Blanchefleur del Campo ani nie wróciła po schodach na górę, ani nie odjechała żadnym pociągiem, ani także – szczęśliwie – nie odnaleziono jej zwłok, jedynym sensownym wyjaśnieniem zniknięcia będzie założenie, że zeszła na tory.

Ale czy to w ogóle jest możliwe? Przecież nadjeżdżający pociąg zrobiłby z niej miazgę. Poczulałam niepokój, wsłuchując się we własne myśli. Ten współczesny miejski loch był nie tylko zakopcony i zacieniony, ale także wilgotny i ciekący. W tunelu było jeszcze ciemniej, a ja nie miałam ze sobą latarni. Księżna musiała jednak podążyć w którąś z jego stron... Niech diabli porwą moją brawurę, kiedyś się przez nią doigram. Już w dzieciństwie, zamiast zwyczajnie przechodzić po moście, wolałam pokonywać rzekę, biegnąc po balustradzie.

Mimo że sama nad sobą załamywałam ręce, wiedziałam już, co trzeba zrobić.

W lewo czy w prawo? Wybrawszy losowo jeden z kierunków, doszłam do końca peronu. Tory znajdowały się sześć stóp niżej. Rozejrzałam się szybko i upewniwszy się, że nikt mnie nie obserwuje, zsunęłam się zgrabnie na dół i ruszyłam, jak mi się wydawało, w kierunku północno-zachodnim, czyli w lewo, wymacując dłońmi ścianę, póki wzrok nie oswoił się z ciemnością. Spod stóp uskakiwały mi z piskiem szczury, ale byłam na to przygotowana, podobnie jak na obecność karaluchów, zalegające na torach śmieci, wszechobecny smród oraz wyciekającą ze szczelin w ścianach i sklepieniu brudną ciecz.

Nie spodziewałam się jednak ujrzeć obdartusa grzebiącego w śmieciach.

W tunelu panowały takie ciemności, że zauważyłam go dopiero w ostatniej chwili i omal nie staranowałam. Był tak umorusany, że wtopił się w otoczenie. Nie miałam też czasu sięgnąć po zaskórniaki i przygotować się do rozmowy, ponieważ mężczyzna od razu wyczuł moją obecność. Odwrócił się powoli do mnie i zaryczał wściekle:

– Czego tu paniusia szuka?!

Pytanie ze wszech miar słuszne, rzadko bowiem można spotkać pachnącą świeżością damę w wykrochmalonej sukni spacerującą po torach. Strój jest wyznacznikiem pozycji dla klas zarówno niższych, jak i wyższych.

– To nie miejsce dla takich damulek! To jest mój rewir!

Zaczęłam się wycofywać, zorientowawszy się, że mam do czynienia z tak zwanym kanalarzem, nędzarzem o najniższej randze. Widywałam już takich, wyłaniających się z kanałów, wonięjących szczurami, zdechłymi rybami, śmieciami, padliną, odchodami i wszelkiego rodzaju szlamem. Ludzie ci

przetrzęsali ścieki w poszukiwaniu drewniaków, złomu, drobniaków, a od czasu do czasu – eureka! – trafiał im się nieboszczyk, którego można było oskubać z gotówki i ubrań. Nie wiedzieć czemu osoby parające się mordowaniem bliźnich również upodobały sobie londyńskie podziemia.

– Jazda mi stąd! – wrzasnął na pożegnanie, jakby sam szykował się do zabójstwa.

Nie miałam powodów, by podejrzewać, że ukrywa za plecami księżnę Blanchefleur, więc pokornie posłuchałam jego polecenia i podreptałam z powrotem w stronę peronu. Tam, wzięwszy głęboki wdech, zaczęłam rozważać kontynuację poszukiwań w drugiej części torów, tych wiodących na południowy wschód. „Raz kozie śmierć”, mówiłam sobie. „Kto nie ryzykuje, ten nie je”. I tym podobne. Tym razem jednak górę wziął zdrowy rozsądek. Dowiedziałam się tego, co chciałam wiedzieć, to jest, że można przetrwać w tunelu metra, nie narażając się na rozjechanie przez lokomotywę. Jeśli zechcę prowadzić dalsze badania, będą mi potrzebne łachmany, latarnia, gruby kij i cockneyowski tupet. Bez tego eksploracja podziemi w nadziei na rozwiązanie tajemnicy zniknięcia księżnej nie ma sensu. Serce wciąż łomotało mi w piersi po spotkaniu z awanturycznym łązęgą, kiedy odbierałam kuferek od zawiadowcy. Pobiegłam szybko ku wyjściu, z ulgą witając jasne światło i czyste powietrze (no, może trochę przesadzam) na Dorset Square, do którego prowadziła Baker Street.

Wozy rozwoziciele piwa, furgony z pieczywem, beczkowsy, bryczki, kabriolety i kalesze mijały mnie w nieskończonej, powolnej kawalkadzie. Z turkotem przemknął omnibus z obowiązkową reklamą mleka Nestlé na boku. Skwer wypełniały tłumy pieszych: tu dostawca ryb z koszem świeżo złowionych mintajów na głowie, tam plakaciarz z pędzlem na długim kiju, wiaderkiem kleju i zwojami afiszy pod pachą, dalej sprzedawca pierniczków, przechadzające się damy, biznesmeni w cylindrach, roześmiane dzieci (a wśród nich całkiem dorodne już dziewczęta!) huśtające się na podczepionej do ulicznej latarni linie oraz sprzedawca lodów, który ustawił maszynkę do kręcenia lodów na rozkładanym stoliku w samym środku tego rozgardiaszu i nawoływał: – Lody dla ochłody, gałeczka po pensie! Kto zje, ten się z zimna trzęsie! Ha. I bez tego wstrząsały mną zimne dreszcze na wspomnienie kanalarza. Mimo to poczułam wielką ochotę na lody. Ba, uznałam, że na nie zasłużyłam, więc ruszyłam w stronę przekupnia. W tej samej chwili drogę zastąpiła mi wysoka, stara Cyganka.

Ogarnęła mnie złość. Cyganki w mieście trudniły się żebractwem, dopraszając się jękliwie o drobniaki, chociaż same były obwieszane złotem. Spod ubrań i chust w jaskrawych kolorach połyskiwały paciorki, bransolety, łańcuszki, kolczyki... Niezależnie od okoliczności smagłokóre kobiety nosiły na sobie cały swój ziemski dobytek. Ich papuzia garderoba obszyta była gęsto cekinami z miedzi i cyny, lśnącymi i brzęczącymi amuletami z wytłoczonymi wizerunkami ptaków, węży, strzał, gwiazd, słońc, półksiężyców i szeroko otwartych oczu. Zakłęte w nich przesady i obawa przed „urocznym okiem”, czyli rzuceniem kłutwy, skutecznie zniechęcały potencjalnych złodziei damskich kosztowności.

Cyganka, która zastąpiła mi drogę, nie różniła się strojem od innych przedstawicielek swojej nacji. Tym razem jednak nie usłyszałam zwyczajowego błagalnego zawołania. Kobieta zagadnęła mnie głębokim, ochrypłym głosem:

– Dziecko, widzę sztylet na twym gorsie i kruka na twym ramieniu.

Słowa te wprawiły mnie w takie osłupienie, że stanęłam jak wryta. Oczywiście, miałam przy sobie sztylet ukryty w brykli gorsetu, ale nieznajoma nie mogła o tym wiedzieć. Zaniemówiłam i przyglądałam się w milczeniu tej krzepkiej i wyprostowanej jak struna postaci o zapadniętych, ogorzałych policzkach i siwych włosach spływających na ramiona jak końska grzywa.

Dopiero później, kiedy nieco ochłonęłam, dotarło do mnie, że sztylet, o którym mówiła Cyganka, mógł być przenośnią, podobnie jak kruk, złowieszczy ptak będący symbolem mądrości. Przecież nie paradowałam po mieście z krukiem na ramieniu.

Nieznajoma ciągnęła cichym i niskim głosem:

– Jesteś w niebezpieczeństwie. Zagrożenie czyha w cieniu, moje dziecko.

Tu akurat trafiła w dziesiątkę, jednak nie miała prawa o tym wiedzieć, jak też nie miała powodu, by zwracać się słowem „dziecko” do kogoś ubranego jak pełnoletnia kobieta.

Moje zaskoczenie przerodziło się w irytację:

– Na razie to pani jest dla mnie zagrożeniem. Czego pani ode mnie chce?

- Chcę zobaczyć wewnątrz twojej dłoni, dziecko.
- Domyślam się, że muszę w zamian posrebrzyć pani rękę.
- Nie. Niczego od ciebie nie chcę. Ale chodzi o to... że masz w sobie coś... coś, co rozpoznaję.

Dziwne, bo w tej samej chwili ja także coś rozpoznałam, tyle że nie w niej, ale na niej. Pośród licznych amuletów zdobiących jej ubrania wyróżniała się jedna ozdoba. Nie była metalowa jak pozostałe. Cienki, płaski drewniany krążek, na którym wymalowano coś żółtą farbą. Postronny obserwator mógłby w tym dostrzec promieniejące słońce, moje wprawne oko rozpoznało natychmiast kwiat chryzantemy.

Namalowany pociągnięciami pędzla rozpoznawalnymi jak charakter pisma.

W mgnieniu oka zapomniałam i o nieszczęsnej Blanchefleur, i o dobrym wychowaniu. Bez słowa wyjaśnienia wyciągnęłam rękę i chwyciłam talizman, uwalniając go z plątaniny długich włosów Cyganki i niezliczonych złotych łańcuszków. Mimo że tak bezceremonialnie sięgnęłam po jej własność, kobieta nie zrobiła jednak nic, by mnie powstrzymać. Stała przede mną niewzruszona jak głaz.

Drewniany krążek – najpewniej plasterek odpiłowany z gałęzi drzewa lub pniaka młodego drzewka – miał wydrążoną u góry dziurkę umożliwiającą przewleczenie nitki i przyszycie go do tkaniny. Drżącymi palcami odwróciłam przedmiot na drugą stronę.

A tam – tak, dawne nawyki zawsze dają o sobie znać – zobaczyłam nakreślone pędzelkiem fantazyjnie roztańczone inicjały: EVH. Eudoria Vernet Holmes.

Mama.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zamurowało mnie tak, że z trudem wyszeptalam:

– To malunek mojej matki.

Choć adresatem tych słów nie była ona, lecz raczej sfery niebieskie i firmament, Cyganka aż sapnęła, zaskoczona niemal tak jak ja przed chwilą.

– Twojej matki?

Jej głos przywołał mnie do porządku i na chwilę odzyskałam resztki ogłady. Wypuściłam amulet z palców i spojrzałam jej w oczy, lśniące i bursztynowe, niemalże kocie.

– Tak, namalowała to moja matka, nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości.

Dlaczego aż tak się zdziwiłam? Przecież wiedziałam, że mama przez ostatni rok wędrowała z cygańskim taborem. Wiedziałam też, że nie wyobrażała sobie życia bez malowania.

Wysoka Cyganka przyjęła tę wiadomość z nabożną czcią, jakby hałaśliwa ulica stała się nagle pogrążoną w ciszy katedrą. Naciągnąwszy szal o krzykliwej barwie, by przykryć włosy, pochyliła przede mną głowę i wyszeptala:

– Niech spłyną na ciebie wszelkie błogosławieństwa, córko Marii od Kwiatów.

Nie przywykłam do takiej czołobitności, więc znów zaniemówiłam, tym razem z zażenowania.

– Dziękuję – wydukałam po chwili – ale moja mama nie ma na imię Maria.

– Dla nas i tak jest Marią. – Krzepka stara kobieta podniosła na mnie wzrok i jak jasnowidzka w transie zaczęła mówić cichym i lekko ochrypłym głosem: – Dawniej znaliśmy Marię z Magdali, Marię z Betanii, Czarną Marię i Marię z Nazaretu, która poczęła bez grzechu. Ozdabialiśmy wnętrza naszych wozów ich wizerunkami. I nagle objawia się nam pani, która nie zna naszej mowy, a jednak chce wędrować z nami, która ratuje nas raz po raz przed gniewem policjantów i gajowych, która przywraca blask starym ikonom, która maluje nam kwiaty, kwiaty na radości, kwiaty na smutki, kwiaty na szczęście, żebyśmy mogli jechać tam, dokąd pragniemy, i łowić tłuste ryby, za co chylimy przed nią czoła i nazywamy ją naszą Marią od Kwiatów.

– To moja matka – powtórzyłam. – Pragnę ją odszukać. Gdzie teraz przebywa?

– Gdzie przebywa? A gdzie przebywa strzała wystrzelona w niebo? Gdzie się kryje zagrzebany w ziemi skarb? Dokąd ulatuje sowa w bezksiężycową noc? Jesteśmy Cyganami, dziecko. Poznajemy się, witamy, a potem znów się rozpierzchamy na wszystkie strony, jak liście gnane wiatrem.

Jej słowa nie wynikały z chęci zbycia mojego pytania drwiną. Brzmiały jak litania. A jednak wyczułam w nich także niedopowiedzenie. Stara kobieta chciała coś przede mną ukryć.

Spróbowałam jeszcze raz:

– Z którym taborem podróżuje?

– Z karawaną złożoną z wielu pięknych koni, dziecko, kruczej maści, z białymi gwiazdami na czołach. Pokażesz mi teraz swoją dłoń? Wiele razy ujmowałam rękę twojej matki, by odczytać jej to, co mówią linie na dłoni, bez chęci zysku, z czystego uwielbienia. Mojej ręki nie trzeba srebrzyć. Dasz sobie powróżyć?

Zapewniam łaskawego czytelnika, że traktowałam chiromancję z równą powagą co życzenia wypowiedane przed zdmuchnięciem świeczek na urodzinowym torcie. Wychowałam się w oświeconej rodzinie, mój ojciec był logikiem, matka sufrażystką. Wszyscy kpiliśmy sobie z przesądów i traktowaliśmy przepowiadanie przyszłości jak głupiutką salonową rozrywkę.

Tym razem czułam, że i tak niczego nie ugram, odmawiając prośbie Cyganki. Co więcej, straciłabym okazję nieco dłużej z nią porozmawiać.

Więc stałyśmy dalej wśród ulicznego rejwachu, niepomne na konie, powozy i przechodniów. Nieznajoma z zaskakującą delikatnością ujęła moje pozbawione rękawiczek ręce suchymi, szorstkimi palcami. Najpierw przyjrzała się grzbietom dłoni, później zaczęła studiować ich wnętrza, ściskając moją lewą dłoń z jakąś osobliwą, pozbawioną uśmiechu czułością.

– Zupełnie, jakbym czytała z ręki twojej matki – zauważyła – gdyby nie dłuższa, głębsza i mniej przerywana linia serca. – Uwolniła moją lewą dłoń z uścisku. – Ta ręka należy do przeszłości i rodziny. A to, co komu sądzone, kim jest i czego dokona, skrywa prawica.

– Nawet jeśli ktoś jest leworęczny? – Zawsze wszystko kwestionuję, to u nas rodzinne. Przypomniała mi się Cecyli, leworęczna lady, która stała się niewolnicą wymogów społeczeństwa, kiedy przymuszono ją do pisania prawą ręką.

Cyganka skrzywiła się lekko.

– Takie pytanie może zadać tylko córka Marii od Kwiatów. Czyżbyś była mańkutką?

– Nie.

– Więc czemu pytasz? Sza, dziecko, daj mi popatrzeć...

Wpiła się wzrokiem we wnętrze mojej dłoni, studiując ją z tak wielkim skupieniem, że czas zwolnił bieg i odpłynął w nicość razem z wielkomijskim gwarem i turkotem pojazdów. Kiedy poczułam, jak wodzi po liniach mojej dłoni, muskając je leciutko opuszką palca, przeniknął mnie na wylot dziwny prąd, który dotarł do samego rdzenia mojego jestestwa. I choć trwałam w bezruchu z własnej woli, czułam się jak w hipnotycznym transie.

Po chwili stara Cyganka odezwała się ponownie, cedząc słowa melodyjnie i rytmicznie jak wydający polecenia mesmerysta.

– Twoja linia losu wyrasta z gwiazdy położonej na wzgórku Saturna i splata się mocno z linią życia. Obrączka na twojej lewej dłoni kłamie. Bo jesteś sama, byłaś sama nawet w dzieciństwie i twoim przeznaczeniem jest samotność do końca życia, chyba że zechcesz stawić czoło swemu fatum.

Prawda jej słów zapadła we mnie głęboko jak kamień, ale przytaknęłam tylko.

– Co jeszcze?

– Twoja linia serca jest na prawej dłoni, długa i mocna. Masz kochającą naturę, ale brak ci kochanka. Rekompensujesz sobie to, kochając ludzkość. Starasz się pomagać, służyć i czynić dobro, tak jak tylko potrafisz.

Mówiła to tak rzeczowym tonem, że nie musiałam się rumienić z zażenowania. Ponownie kiwnęłam twierdząco głową.

A Cyganka ciągnęła:

– Dłonie masz wąskie i delikatne, zdradzające artystyczną duszę, zaś linia słońca znamionuje wielką mądrość i intuicję. Rozpoczyna się ona od gwiazdy na wzgórku Apolla. Jedna gwiazda na dłoni to rzadkość, a u ciebie są dwie. Jeszcze nigdy się z czymś takim nie spotkałam, nawet u twojej matki.

I znów dopadła mnie natrętna myśl.

– Gdzie jest moja matka?

– Twoja dłoń tego nie zdradzi.

– A pani?

– Mogę mówić jedynie o Marii z Magdali, o Marii z Betanii, o Czarnej Marii. Twoja matka jest tam, gdzie rzuciło ją przeznaczenie. Ty, Enolu, musisz uważać, podążając jej śladem. Niech przewodnikami będą ci twoje własne gwiazdy. To wszystko, co mam ci do powiedzenia. Na mnie już czas.

Stałam tam przez chwilę jak słup soli z wyciągniętą przed siebie prawą dłonią. Wreszcie zamrugałam, jakbym budziła się ze snu, i rozejrzałam się wokół. Przecież nie przedstawiłam się Cygance. Skąd znała moje imię?

I gdzie się podziała?

Przebiegłam oczyma po Dorset Square i choć ponownie dostrzegłam lodziarza (tym razem jego widok nie obudził we mnie apetytu na zimny przysmak), kołyszące się pod latarnią dziewczęta i całą resztę, nigdzie nie mogłam wypatrzeć wysokiej starej Cyganki. Dokąd się udała? Zniknęła. Zupełnie jak za sprawą nadprzyrodzonych mocy.

„Nonsens!”, ofuknęłam sama siebie. Mogła wejść do szaletu publicznego. Dorset Square szczylił się jednym z pierwszych takich przybytków higienicznych, zdobnym w żeliwną kolumnadę, figury greckich bóstw i wieżę zegarową. Mogła też zejść do metra. Albo odjechać dorożką – naprzeciwko wejścia na stację znajdował się postój. A jednak wydawało mi się to mało prawdopodobne. W tak piękny letni dzień na placu stały niemal same kabriolety z półotwartą budą, brakowało porządnych zamkniętych powozów, w których można by się schować.

A właśnie zaczęło mi na tym bardzo zależeć, ponieważ uświadomiłam sobie nagle, że moja

garderoba i ogólny wygląd bardzo ucierpiały podczas eskapady w głąb tunelu. W jeszcze gorszym nieładzie były myśli i uczucia. Zbiegłam ponownie po schodach na tonącą w półmroku stację, wsiadłam do pierwszego pociągu i okrężną drogą dotarłam do Klubu dla Pań. Musiałam się uspokoić i zebrać myśli.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Mój pokój, podobnie jak kilka innych mieszkań na trzecim piętrze tego damskiego azylu, był urządzony w sposób raczej spartański. Bądź co bądź gmach był przystanią intelektualistek walczących o reformę ubiorów i inne swobody, zatem osób, którym nie zależało zbyt na drapowanych obrusach i falbanach przy łóżku. Jednak jak już wspominałam, jedzenie podawano tu wyśmienite. Zamówiłam sobie do pokoju półmisek kanapek, wykapałam się, a następnie usiadłam w szlafroku i racząc się pajdami posmarowanymi pastą z tuńczyka z dodatkiem ogórka i rukwi wodnej, próbowałam uspokoić roztrzęsione nerwy i skołatany umysł. Przypomniłam sobie, że przecież nie pierwszy raz spotkałam kogoś, kto zna moją matkę. Podczas pierwszej wizyty w klubie podsłuchiwałam niechcący rozmowę kilku sufrażystek rozprawiających na jej temat. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego spotkanie z Cyganką wywołało w mojej głowie tak wielki mętlik. Uciekłam się do sprawdzonego w chwilach wzburzenia remedium. Sięgnęłam po papier i ołówek.

Szybko i zamasyście kreśliłam rysunek za rysunkiem. Naszkicowałam twarz Cyganki. Przenikliwość jej kociego spojrzenia przyprawiła mnie o dreszcz strachu. Narysowałam też kruka w locie. Wołałam nie przedstawiać go na własnym ramieniu. W zamierzonych czasach gadające kruki często towarzyszyły wróżbitom, ale były to także ptaki zlatujące się nad pola bitewne, by karmić się śmiercią. Na kolejnej kartce wyczarowałam portrecik rozsierzonego kanalarza z torów metra. W odwecie za napędzenie mi strachu obdarzyłam go kartoflanym nosem i kalafiorowatymi uszami. Kiedy kolejny raz próbowałam odtworzyć rysy twarzy Cyganki, na kartce pojawiła się twarz mamy. Bardzo mnie to zbiło z tropu. Zazwyczaj nie potrafiłam przywołać w pamięci jej rysów, więc kiedy ujrzałam jej oblicze na papierze, serce ścisnęło mi się boleśnie. Odwróciłam szybko kartkę i na odwrotnej stronie sportretowałam inną osobę. Naszkicowałam delikatną, słodką damę, szczupłą i jasnawłosą, o pełnym czułości spojrzeniu. Widok ten ukoił mnie do tego stopnia, że postanowiłam narysować ją widzianą z innej perspektywy. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że z kartki spogląda na mnie *Blanchefleur*, *duquesa del Campo*.

Och, na miłość boską... Ja tu sobie siedzę i tworzę obrazki – zaraz pewnie zacznę smarować urocze koniki – pogryzając kanapki z pastą rybną, a przecież moim zadaniem jest ustalenie, co się z nią mogło stać!

Odsunęłam szkice na bok, wygnałam z głowy inne myśli i zaczęłam spisywać na papierze możliwe warianty losu księżnej *Blanchefleur*.

Albo sama postanowiła zniknąć, albo padła ofiarą wypadku lub przestępstwa.

Jeśli zniknęła z własnej woli, jak udało jej się ukryć przed poszukującymi jej damami dworu?

Skoczyła na tory? Mało prawdopodobne, ale należałoby to zbadać.

Trzeba ustalić więcej szczegółów dotyczących jej życia. Czy czuła się nieszczęśliwa? List pisany do matki nie tchnął optymizmem.

Wypadek? Przestępstwo?

Wypadek: Spadła przez kratę do kanału ściekowego, łamiąc sobie nogę, co uniemożliwiło jej wydostanie się z pułapki, a osobom postronnym usłyszenie jej wołania o pomoc?

Brzmi to niewiarygodnie melodramatycznie.

Przestępstwo: Została uprowadzona siłą.

Dla okupu – ale nie wpłynęło żądanie jego zapłaty.

Z innej przyczyny? Zemsta? Czy miała wrogów?

Ponownie zachodzi konieczność sprawdzenia jej przeszłości.

A może cała historyjka o stacji metra jest bajeczką wymyśloną przez damy dworu?

Chociaż muszę przyznać, że emocje, którym obie młode damy dały upust, były ze wszech miar autentyczne. Ostatnie zapisane przeze mnie zdanie brzmiało niewiarygodnie, a i poprzednim pomysłem brakowało polotu.

W takich razach zalecane jest poniechanie rozważań na godzinę lub dwie, by odciążyć umysł i dopuścić do głosu podświadomość. Ale co mogłoby zająć moją uwagę na tyle skutecznie, bym poniechała dalszych dywagacji?

To oczywiste – wizyta u pani Tupper! Od naszego ostatniego spotkania minęło już sporo czasu. Moja droga przygłucha była gospodyni będzie zachwycona, że ma towarzystwo, a dla mnie odwiedziny w jej nowym miejscu zamieszkania będą przyjemną odskocznią. Podniosłam się z krzesła, by rozpocząć przygotowania.

Pani Tupper była w tym czasie rezydentką w niezwykle tłumnie odwiedzanym domu panny Florence Nightingale. Niestety, mój brat doskonale o tym wiedział, a podejrzewając, że zechcę ją odwiedzić, zlecił zapewne paru osobom obserwację. Pałętający się po sąsiedztwie ulicznicy mogli przecież należeć do Ferajny z Baker Street. Tyle że Sherlock z pewnością kazał im wypatrywać sawantki w typie starej panny, odzianej w tweedy czy inne burości, z myszowatymi włosami zaczesanymi na gładko i ujętymi w koczek, obdarzonej wydatnym nosem ukrywanym za binoklami w topornych oprawkach.

Dlatego też, kiedy tylko udawałam się z wizytą do pani Tupper, dla własnego bezpieczeństwa przeobrażałam się w pełną uroku młodą damę.

Oszczędzę łaskawemu czytelnikowi szczegółów dotyczących środków upiększających, koniecznych do dokonania tak radykalnej przemiany. Wspomnę jedynie, iż tak jak zawsze przykleiłam na skroni niewielki pieprzyk, skutecznie odciągający uwagę od środka mojej fizis, czyli wydatnego organu powonienia. Przeciwwagą dla nochala była także ułożona w kunsztowne wałeczki i pukle olśniewająca (oraz niezwykle kosztowna) peruka o złotaworudawych puklach.

Nie odmówię sobie jednak przyjemności opisanego stroju wizytowego, jakże przemyślnie dobranego na popołudniowe wyjście. Była to niebiańsko piękna suknia z draperią z cienkiej kropkowanej bawełny w kolorze ceruleum, upiętej w zmyślne fałdy na spódnicy o barwie nocnego nieba, przepasana szerokim paskiem z białej satyny, z błękitną górą ozdobioną białymi obszyciami. Na głowie miałam fikuśny niebieski kapelusik udekorowany stokrotkami i wstążeczkami, w rękę trzymałam białoniebieską parasolkę z falbanką z kropkowanej bawełny. W płowych rękawiczkach i bucikach wyglądałam – tak przynajmniej sama uważam – zjawiskowo.

Do tego stopnia, że wybrałam się do Mayfair dorożką z otwartą budą, by – udając obojętność – rozkoszować się ukradkowymi spojrzeniami zachwyconych przechodniów. Niestety, piękna dama nie mogła się spodziewać, że ciąży na niej straszliwe fatum.

Wysiadając z pojazdu przed piękną rezydencją Florence Nightingale, odwróciłam się, by wręczyć zapłatę woźnicy...

Nagle moich uszu dobiegły niezwykle, niemal ludzkie piski radości, zbliżające się ku mnie z zawrotną prędkością. Po chwili dwie włochate łapy omal nie powaliły mnie na ziemię! Odwróciłam się, by zobaczyć, co na mnie skoczyło, i w tym samym momencie czas dokonał ekwilibrystycznej sztuczki – zachował się jak akordeon, z którego nagle uszło całe powietrze. Znowu byłam małym dzieckiem, które koniecznie musi uściskać ukochanego psa.

– Reginald! – Niepomna na elegancki ubiór, maniery, opinię przechodniów i wszystko inne przysiadłam na chodniku, żeby wziąć w ramiona pocziwego owczarka szkockiego, zanosząc się przy tym śmiechem i równocześnie płacząc.

Stary przyjaciel wywijał zawzięcie ogonem, lizał mnie po twarzy i skamlał z psiej radości.

Pełna błogość. Trwająca kilka krótkich, upojnych chwil. Przerwana brutalnie, kiedy para smukłych, lecz niezwykle silnych rąk chwyciła mojego starego collie za obrożę, by przymocować do niej smycz. Podniosłam oczy na pozbawioną wyrazu twarz mojego brata Sherlocka.

Ale nie byłam już w stanie pohamować radości. Ze śmiechem podałam mu dłoń, by pomógł mi się dźwignąć z ziemi.

– Pan Sherlock Holmes! – zaświergotałam melodyjnie, podnosząc głos o oktawę. – Ojej, ciotunia nie uwierzy, kiedy jej powiem, że spotkałam tak słynnego detektywa!

Zdumienie wzięło górę nad samokontrolą. Zobaczyłam, jak leciutko opada mu żuchwa. Jednak momentalnie przywołał ją do porządku.

– To ty byłeś w saloniku u Watsona?

– Przyglądając się osobliwemu bukietowi przesłanemu mu przez nieprzyjaciółkę. Tak. – Nie przestając głaskać Reginalda i otrzepując drugą ręką suknię z psiej sierści, rzuciłam bratu wyzwanie: –

Przyznaj, że nigdy byś mnie nie rozpoznał, gdyby nie nasze kudłate psisko.

– To prawda, masz rację. Jestem pod wrażeniem. Czy mogę się domyślać, że obrączka, którą wyczuwam pod rękawiczką, jest jedynie częścią twojego przebrania?

– W rzeczy samej.

– A zatem dalej jesteś niezamężna i... że wyrażę najgorętszą nadzieję... nieskalana?

– Mój drogi bracie! – zaprotestowałam ostrym tonem.

– Wybacz mi. Oczywiście, nie wypada mi o to pytać, ale... jestem w tej chwili całkiem skołowany... bo choć rzadko jest mi dane wielbić płeć piękną, muszę przyznać, że wyglądasz nad wyraz uroczo.

Poczułam rozlewające się po policzkach ciepło i zamilkłam z wrażenia, walcząc z wykrzywiającym mi wargi próżnym uśmiechem.

Sherlock dokończył zaś swoją myśl:

– Wygląda na to, że edukacja na pensji nie będzie już w twoim wypadku konieczna.

Zmroził mnie strach, co zapewne odbiło się na mojej twarzy, ponieważ brat pospiesznie dodał:

– Zapewniam cię, że dawno porzuciłem zamiar skazania cię na pobyt w takiej instytucji, droga siostrzyczko. Panna Nightingale raczyła mnie oświecić w kwestii... yyy... słabych stron pensji dla panien.

– Jak zacnie z jej strony. Ale czy zdołała oświecić także i Mycrofta? – Wszakże to mój najstarszy, cechujący się niewiarygodnym uporem brat był moim prawnym opiekunem.

Sherlock skrzywił się nieznacznie, potwierdzając moje obawy. Wciąż zatem wisiało nade mną niebezpieczeństwo. Muszę uciec. I to przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

Myśl ta napęliła moje serce goryczą, ponieważ uwielbiałam jakże ożywczo na mnie działające pogawędki z Sherlockiem.

Odpowiedział mi, starając się nadać głosowi możliwie szorstki ton:

– To, że cię odszukałem w tak irytująco prosty sposób... że też nie wpadłem na to rok temu! To nie ma żadnego związku z Mycroftem.

– Czy coś się stało?

– Tak, i to coś niezwykle dziwnego. Twoja matka próbowała w nader szczególny sposób nawiązać z nami kontakt.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mama!

– A więc ona żyje? – wykrzyknęłam.

Wypowiadając bezmyślnie te słowa, ujawniłam skrywaną obawę, do której do tej pory nie chciałam się przyznać: ponieważ mama od tyłu miesiący nie dawała znaku życia, można było domniemywać, że odeszła od nas na dobre. Oczywiście, rok temu opuściła dom i rodzinę. Ale co miała na myśli Cyganka, mówiąc o wystrzelonej w niebo strzale i o sowie odfruwającej w bezksiężycową noc? I o tym, że mama dołączyła do karawany pięknych koni, czarnych jak noc, z białymi gwiazdami na czołach? Czy chciała w ten poetycki sposób przekazać mi wiadomość, że mama odeszła, dokonała żywota, poszła do nieba... Nie znosiłam tych konwencjonalnych eufemizmów, a jednak sama się do nich uciekałam...

Twarz mojego brata przybrała pełen wyższości wyraz rozumującego logicznie myśliciela.

– Ponieważ od kilku miesięcy nie miałaś z nią kontaktu, obawiałaś się, że umarła? Moja droga siostrzyczko, nie odzywała się do mnie latami, a jednak trwałem w przekonaniu, że cieszy się dobrym zdrowiem.

– Tak, ponieważ wiedziałeś, że wiecznie prosiła Mycrofta o gotówkę – odparowałam cierpko, żeby ukryć narastającą burzę uczuć, jaką wywołała pewna natrętna myśl. Czy to nie dziwne, że parę godzin wcześniej natknęłam się na Cyganek? Ale nie przyznałam się do tego bratu. Nie była to bowiem zagadka, którą można by rozwiązać za pomocą dedukcji.

W zamian postanowiłam wrócić do meritum.

– Szczególna próba nawiązania kontaktu? Co przez to rozumiesz? Dlaczego „szczególna”?

– Pokażę ci, wnioski wyciągniesz sama. – Odwrócił się i zaczął iść, jakby zakładał, że będę mu towarzyszyć.

– Możesz mi chociaż zdradzić treść wiadomości?! – zawołałam.

– Niestety nie. Nie otwierałam koperty. Jest adresowana do ciebie.

Byłam gotowa krzyczeć z rozpaczy, bo moja cierpliwość była na wyczerpaniu.

– Czy to jedna z twoich podłych intryg mających na celu zwabienie mnie w pułapkę?

– Enolu! – Kiedy spojrział na mnie przez ramię, zauważyłam na jego twarzy cień emocji, szybko jednak nad sobą zapanował. – Nie, gdzieżbym śmiał – odpowiedział oschle. – Ale powinniśmy gdzieś przysiąść. – Przechylając głowę, wskazał otwarte szeroko drzwi wejściowe. Drzwi wiodące do domu Florence Nightingale. Do rezydencji przypominającej raczej gmach użyteczności publicznej: orędownicy zmian, przedstawiciele rządu i inni goście wchodzili tam i wychodzili, kiedy chcieli, mimo że słynna reformatorka pielęgniarstwa zamknęła się przed światem na ostatnim piętrze swego domostwa. – Liczę na to, że chociaż w tym względzie potrafisz mi zaufać.

Ku swojemu niezadowoleniu stwierdziłam w duchu, że potrafiłabym zaufać mu pod wieloma innymi względami.

Koniec końców przekroczyliśmy próg ceglanego gmaszyska, niezapowiedziani i niezauważeni. Jestem pewna, że do żadnej innej szanującej się londyńskiej rezydencji nie wpuszczono by bezkarnie wysokiego mężczyzny w cylindrze, prowadzącego na smyczy lekko zaniechanego owczarka szkockiego i niosącego w drugim ręku neseser, zwłaszcza gdyby towarzyszyła mu tyczkowata młoda kobieta w zawadiacko przekrzywionym kapelusiku i pokrytej śladami psich łap strojonej sukni. Ponieważ na parterze było bardzo tłoczno – najwyraźniej zwołano tam jakieś większe zebranie (dostrzegłam mnóstwo kurtek żołnierzy Armii Zbawienia) – nasza trójka udała się na górę do pokoju muzycznego, w którym przesiadywała całymi dniami pani Tupper w oczekiwaniu, że ktoś przyjdzie pograć na fortepianie. Mimo głuchoty słuchanie muzyki sprawiało jej ogromną radość, zwłaszcza kiedy mogła zająć miejsce tuż przy instrumencie.

– Panna Meshle! – zawołała, kiedy tylko stanęłam w progu.

Pozostałam dla niej na zawsze panną Meshle, dawną lokatorką i niedawną wybawczynią, choćbym dokonywała cudów charakteryzacji, by nie przypominać owej wykreowanej przeze mnie fikcyjnej postaci. Staruszka nie dała się zwieść mojemu przebraniu, ponieważ poznała mnie wcześniej

we wszelkich możliwych wcieleniach. Podniosła się z fotela bujanego, przedreptała ku mnie i objęła ramionami moją talię. Pochyliłam głowę i przywarłam policzkiem do czubka jej wykrochmalonego białego czepka, który znalazł się nieco poniżej moich barków.

W tym czasie Sherlock przysunął dwa inne fotele i po chwili wszyscy troje usiedliśmy obok siebie. Nie musieliśmy bawić pani Tupper uprzejmą rozmową, bowiem całą jej uwagę pochłonął Reginald. Gładziła go po głowie trzęsącymi się rękoma, wołając:

– Co za cudowne wiejskie psisko! Tak właśnie powinien wyglądać owczarek collie, nie jak te pałakonogie potworki ze spiczastym pyskiem, które widuję w Hyde Parku...

Sherlock położył sobie na kolanach nesesor, otworzył go i wyciągnął zeń duży płaski pakunek z szarego papieru. Wręczył mi go ze słowami:

– Jakaś anonimowa osoba zostawiła to w środku nocy pod drzwiami kuchni Ferndell Hall.

Wystarczył mi rzut oka na nasmarowane węglem nieporadne szkice gwiazd, oczu, sów, strzał, węży, księżyców i słońc, bym mogła stwierdzić z całą pewnością:

– Zostawiła go tam osoba z cygańskiego taboru. – Dopiero co widziałam podobne wyobrażenia na cekinach i amuletach pewnej Cyganki. Zresztą już dawniej widywałam takie znaki i symbole na jadących drogą kolorowych wozach.

– Cyganie? Skąd taka myśl?

– Przecież przystała do nich, kiedy tylko... – Wyraz jego twarzy sprawił, że ugryzłam się w język.

– Ojej. Zapomniałam, że nic nie wiesz.

– A ty skąd się, u licha, dowiedziałaś?

– Domyśliłam się, a potem sama zadałam jej to pytanie na łamach gazety. Odpowiedziała twierdząco.

– Czyżbyś mówiła o tych diabelskich bredniach w stylu „czwarta litera przykrości, piąta litera tego samego”?

– Hiacynt – objaśniłam. – Czwarta i piąta litera, czyli C i Y, potem wdzięczność, czyli goździk, pierwsza litera G. I tak dalej.

Potrząsnął głową, jakby wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Czego mama miała by szukać w towarzystwie tych złodziei i brudasów?

– Swobody.

– Ależ to żebracy i szalbierze...

– Kolorowe tabory i piękne konie, noclegi pod gwiazdami, żadnych zakazów i nakazów, najcudowniejsza muzyka skrzypcowa w wykonaniu najstarszych nomadów świata... I nie trzeba się przebierać do kolacji.

– Do gulaszu z królika – jęknął, potrząsając głową nie dlatego, że chciał zaprzeczyć moim słowom, ale z niedowierzania – upichconego w pokrytym sadzą blaszanym kociołku nad dymiącym ogniskiem...

Nie zwracając uwagi na jego słowa, skupiłam się na pokrywających szary papier rysunkach. Nie przyglądałam się dłużej widniejącym pośrodku chryzantemie i bluszczowi – chociaż serce mi się ścisnęło, kiedy je dostrzegłam – zafrapowały mnie bowiem ciemne i złowieszcze symbole nagryzmołone wokół, zwłaszcza czworo, jak by je określiła większość osób, „urocznych oczu”, które rozmieszczono w rogach prostokąta. Jednak ja dostrzegłam w nich strach, a nie chęć budzenia grozy.

– Cyganie są bardzo przesądni – poinformowałam brata obojętnym tonem, jakbym sama parę godzin wcześniej nie dała sobie wróżyć z ręki bursztynowookiej przedstawicielce tej nacji. Wciąż nie byłam pewna, co o tej kobiecie sądzić. – Te znaki to symbole mające zapewnić przychylność losu, często widywane na noszonych przez nich amuletach. Ale dlaczego pokryto nimi całą powierzchnię pakunku?

– Gdybyś rozcięła papier – mruknął gniewnie – może coś byśmy z tego zrozumieli.

– A co to takiego?! – zakrzyknęła pani Tupper, która dopiero teraz spostrzegła przedmiot naszej rozmowy.

– Zaraz się przekonamy. – Najchętniej rozerwałabym, jak zawsze, brzeg koperty palcami, uznałam jednak, że powinnam obejść się z nią z większym pietyzmem. – Chyba należałoby użyć noża.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sherlock zaczął szukać po kieszeniach szczyryka, ale niepotrzebnie się trudził. Jednym ruchem wyciągnęłam ukryty pod bryklą gorsetu sztylet.

– No tak. Że też, głupi, o tym zapomniałem – westchnął Sherlock z przekąsem.

Pominęłam to milczeniem i przystąpiłam do rozcinania węższego brzegu koperty, po czym ścisnęłam oba jego końce, by zajrzeć do środka. Nie było tam nic, prócz czegoś, co wzięłam za kłęb papierowych ścinków. Wytrząsnęłam zawartość przesyłki na kolana.

– Cóż to, na Boga, może być? – zaczęła pani Tupper.

– Czy byłabyś łaskawa schować Ekskalibura do pochwy, Enolu? – spytał cichym głosem Sherlock.

Wsunęłam sztylet za dekolt, puszczając mimo uszu kpinę z mojej broni, po czym spojrzałam na spoczywające na mych kolanach papierowe serpentyny o szerokości cala, pokryte z jednej strony zawiadackimi literami, bez wątpienia skreślonymi ręką mojej matki. Od razu się domyśliłam, z czym mam do czynienia.

Ale Sherlock był szybszy.

– *Skytale* – powiedział.

W ten sposób odkryłam, ku swemu zdumieniu, jak prawidłowo brzmi pochodząca z greki nazwa tego systemu szyfrowania. Od dziecka trwałam w przekonaniu, że mówi się „skitalka”. Kiedy uczyłam się pisać, bardzo często grałam z mamą w „skitalki”, z czego było zawsze mnóstwo uciechy. Zabawa polegała na przygotowaniu papierowych pasków równej długości, sklejeniu ich razem, owinięciu całości wokół dowolnego przedmiotu w kształcie długiego walca i zapisaniu wiadomości. Potem ściągało się papier, a tekst, rozbity na kawałki na długiej papierowej serpentynie, pozostawał nieczytelny dla adresata, póki ten nie znalazł przedmiotu o wymiarach walca użytego przez nadawcę. Mógł to być kij od miotły, wałek do ciasta, słupek od łoża z baldachimem, podstawa lampy – w posiadłości Ferndell wybór był całkiem spory, ale ograniczał się do przedmiotów codziennego użytku.

Teraz jednak byłam w Londynie. Możliwości było nieskończenie wiele.

A to oznaczało, że nie odczytam tego, co napisała do mnie mama, póki nie znajdę przedmiotu określonej grubości. Poczułam bezsilność i omal nie rozbeczałam się głośno, ale na szczęście w porę przygryzłam wargę. Stało się coś, na co czekałam od dnia zniknięcia mamy: przyszedł list, być może ze słowami wyjaśnienia, być może z wyrazami przywiązania, a może nawet... ośmieliłam się marzyć... miłości...

– Muszę natychmiast porozumieć się z Lane'em – oświadczył Sherlock zdecydowanym tonem człowieka czynu – żeby ustalił, czy w noc podrzucenia przesyłki obozowali w tamtych okolicach Cyganie. Jeśli się okaże, że tak, muszę jak najszybciej do nich dotrzeć...

– Co za nonsens! – zawołałam z żarem, który samą mnie zaskoczył, zrodził się bowiem z nieuświadomionej jeszcze w tamtej chwili zazdrości. Ale poczułam jej ukłucie: wiadomość była skierowana do mnie i to ja powinnam odnaleźć zaginioną. – Mama zawsze potrafiła o siebie zadbać. Czy nie powinienes skupić teraz energii na poszukiwaniach księżnej del Campo? – rzuciłam zjadliwie.

Sherlock, który zdążył już podnieść się z miejsca, na dźwięk arystokratycznego nazwiska opadł z powrotem na fotel. Przez kilka chwil wpatrywał się we mnie w milczeniu.

– Błagam, tylko mi nie mów – wydusił w końcu z siebie – że to ty zbiegłaś tamtego ranka ze schodów i przemknęłaś obok mnie w sieni książęcej rezydencji, kiedy moją uwagę zaprzętnął dziwny wybryk pewnego kota.

– Oczywiście, że ci tego nie powiem – odparłam przymilnie. – Powiem ci tylko tyle: *duquesa* Blanchefleur to osoba, której należy niezwłocznie pospieszyć z pomocą, chyba że jej zniknięcie było próbą odejścia od męża. – Postanowiłam wykorzystać okazję, by dowiedzieć się czegoś więcej o sytuacji zaginionej. – Czy skontaktowałaś się z jej rodzicami? A może udało ci się ustalić, czy między nią a mężem istniały jakieś niesnaski?

– Oczywiście, że tak! Earl Chipley-on-Wye i jego żona to dystygowani i bezpretensjonalni ludzie. Naturalnie byli zachwyceni tym, że ich córce trafiła się tak wspaniała partia, jednak ani tego

związku nie zaaranżowali, ani jej nie przymuszali do poślubienia księcia. Wszystko wskazuje na to, że *duque* zdobył serce ukochanej, zabiegając o jej względy w uświęcony tradycją sposób, a następnie okazał się wyjątkowo czułym małżonkiem. Młoda pani Blanche fleur ma wszelkie powody po temu, by uważać się za wybraną losu.

Jego lekceważący ton przeszył mnie niemiłym dreszczem, ponieważ od razu pomyślałam o liście, który znalazłam na biurku Blanche fleur, zdradzającym jej melancholię i niepokój ducha. Prawdą jest jednak, że nie stwierdziłam, by planowała ucieczkę. A gdyby nawet, z pewnością nie zniknęłyby w tak dziwny i karkołomny sposób.

Stłumiłam narastającą irytację i odezwałam się do brata spokojniejszym głosem:

– Myślę, że najrozsądniej będzie uznać, że jej zniknięcie ze stacji metra Baker Street nie odbyło się za jej zgodą. Co więcej, sprawcy musieli wyprowadzić ją tunelem w jedną lub drugą stronę.

– Jeśli jej damy dworu mówią prawdę.

– Jestem przekonana, że nie kłamią. Nie widziałeś ich czerwonych i spuchniętych od płaczu powiek.

– W przeciwieństwie do ciebie?

Nie udzieliłam odpowiedzi na to pytanie.

– Sugerujesz, że powinienem udać się na poszukiwania wzdłuż torów? Londyńska policja już to zrobiła.

– I nie znalazła żadnych przejść, które kanalarze, włóczędzy i im podobni mogliby wykorzystać, by dotrzeć do Tamizy? Takich jak dawne koryta rzek?

– Oczywiście, że napotkali wiele takich nor. Nie da się jednak sprawdzić wszystkich. Jeśli porwaną wyprowadzono którymś z takich przejść, mamy związane ręce i musimy czekać, aż pojawi się żądanie okupu.

– Nonsens. Można przecież odszukać staruchę, która zwabiła ją na dół. – Bezzębną ropuchę ze szczeciną na brodzie i w wyswiechtanym słomkowym kapeluszu. Czemu nagle wydało mi się, że rozpoznaję... W umyśle, jak w latarni magicznej, zamajaczył niewyraźny obraz, a ja mówiłam dalej: – Nie uważam, by księżną Blanche fleur porwano dla okupu. Gdyby tak było, sprawcy wystąpiliby już z żądaniem zapłaty. Jest tyle innych powodów, dla których złoczyńcy mogli ją uprowadzić. Starucha może być stręczycielką...

– Enolu! – Sherlock aż pobladł z przerażenia, słysząc takie słowo padające z moich ust.

Ponieważ miałam bardzo nieokreślone wyobrażenie o tym, czym jest stręczenie i w jakim celu się go dokonuje, brnęłam dalej:

– A może komuś zależało na jej ubraniach.

Myślę, że powinnam tu wyjaśnić, że w owych czasach na East Endzie kwitł handel kradzionymi elementami garderoby. Prasa donosiła o szokujących przypadkach porwania dzieci z dobrych domów (kiedy przechodziły na drugą stronę ulicy, by pobawić się z dziećmi sąsiadów). Zaginieni odnajdywani się jakiś czas później na wpół nadzy i zalani łzami w zupełnie innej, odległej części miasta. Z tego powodu dobrze urodzonych pańienek i paniczów nie wypuszczano z domu bez towarzystwa kogoś ze służby.

– Na jej ubraniach? Przecież *duquesa* nie jest dzieckiem!

„I tu się mylisz!”, pomyślałam. Księżna pod wieloma względami przypominała duże dziecko.

Sherlock zbył mój pomysł serdecznym śmiechem.

– Bardzo naciągana teoria. Zresztą, gdyby coś takiego ją spotkało, powinna w ciągu doby zjawić się z powrotem w domu.

Nie odpowiedziałam. Nawet nie za bardzo słuchałam jego wywodów, ponieważ przypominałam sobie nagle, gdzie widziałam – ba, skąd doskonale znałam – starą kobietę ze szczeciną na brodzie, noszącą szkaradny, przyplaszczony kapelusz. W milczeniu zgarnęłam z kolan papierowy zwój, skoczyłam na równe nogi, uściskałam panią Tupper, poklepałam ostatni raz owczarka Reginalda po łbie, a potem – zostawiwszy na pastwę losu rękawiczki i parasolkę – pognałam po schodach do wyjścia.

– Enolu! – dobiegł mnie po drodze znękany okrzyk brata.

Upychając moją skitalkę... to znaczy moje *skytale*... w dekolcie sukni, odkrzyknęłam tylko:

– Odezwę się! – I popędziłam co sił w nogach na ulicę, słysząc za plecami szybkie kroki Sherlocka.

Kiedy tylko znalazłam się za drzwiami, wydałam z siebie przeraźliwy i bardzo niekobiecy gwizd. Po chwili przed dom zajechała dorożka. Wskoczyłam do niej i uderzyłam dłonią w daszek, dając stangretowi znać, że ma ruszać. Ponieważ była to dwukółka z półotwartą budą, odjechałam świadoma tego, że brat mnie widzi. Upewniłam się, że tak jest, zerkając przez ramię. Zatrzymał się dwadzieścia stóp za pojazdem, dysząc ciężko i miotając iskry z oczu. Wiedziałam, że pojedzie za mną. Musiałam poszukać sobie kryjówki. Ale równocześnie musiałam natychmiast dotrzeć na East End. A to wymagało szybkiego przeobrażenia się w osobę, w którą do tej pory się nie wcielałam.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dokąd szanowna pani sobie życzy? – spytał dorożkarz, odsunawszy okienko.

Muszę tu wyjaśnić, że jechałam kabrioletem typu *hansom*. Nazwano go tak na cześć pana Hansoma, który przed kilkudziesięciu laty wpadł na sprytny pomysł umieszczenia kozła na podwyższeniu za budą pojazdu, dzięki czemu pasażer mógł podziwiać widoki, zamiast wpatrywać się w o wiele mniej atrakcyjny dół pleców powożącego. Z tego właśnie powodu odkryte pojazdy cieszyły się w pogodne letnie dni olbrzymią popularnością. Dorożkarz trzymał w rękach lejce przewleczone przez zamocowane na daszku pierścienie. Okienko, przez które porozumiewał się z pasażerami i pobierał opłatę, oraz drzwiczki powozu odsuwał przy użyciu dźwigni. I nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widziała, by powożący dwukółką dorożkarz schodził z wyżyn kozła...

Och! Moje szczęśliwe gwiazdy!

Większość śmiałych – czy też raczej niedorzecznych – pomysłów rodzi się w mojej głowie w ułamku sekundy. Odpowiedziałam bez wahania:

– Do pańskiej stajni.

– Co, proszę? – spytał, podnosząc z wrażenia głos.

– Tam, gdzie zostawia pan na noc konia i powóz. – Wręczyłam mu przez okienko banknot jednofuntowy. – Proszę się nie obawiać, zaręczam, że to się panu opłaci.

Dopiero kiedy znaleźliśmy się na ulicy *Serpentine Mews*, uświadomiłam sobie, że mój genialny plan ma jednak pewne wady. Jeśli się okaże, że woźnica jest zrzeszony w którejś z większych firm dorożkarskich, mogę napotkać na trudności i zaistnieje konieczność przekupienia większej liczby osób. Nie potrafiłam zebrać myśli. Miałam w głowie jeden wielki chaos. Dźwigałam na ramieniu niewidzialnego kruka, po raz kolejny podpadłam Sherlockowi, ukryty za gorsem list od mamy palił mnie żywym ogniem... Trudno, muszę przestać zaprzętać sobie tym wszystkim umysł i skupić się na odszukaniu księżnej *del Campo*.

Świadomość, że mam powód, by przełożyć kwestię odczytania wiadomości na później, napełniła mnie podszytą poczuciem winy radością. Moje odczucia związane z szyfrem uległy diametralnej zmianie. Nie czułam już naglącej potrzeby jego natychmiastowego złamania. Nie, wolałam odwlec ten moment i dłużej łudzić się nadzieją, że znajdę w liście jakiś ślad matczynych uczuć. Bałam się ująć tę myśl w słowa, ale czułam, że będzie to ostatnia okazja, by się dowiedzieć, czy mama mnie kocha. Byłabym zrozpaczona, gdyby się okazało, że list zawiedzie moje oczekiwania. Dlatego tak nagle stchórzyłam i skwapliwie skorzystałam z okazji, by oddalić chwilę poznania prawdy.

Tymczasem przejechaliśmy już *Serpentine Mews* i pokonawszy kilka zakrętów, zatrzymaliśmy się przy niewielkiej stajni na tyłach bardzo skromnie wyglądającego budynku.

– Doskonale. A zatem pracuje pan na własny rachunek? – spytałam, wysiadając z dorożki.

– A tak.

Czyli nikt nie nadzorował jego pracy. Co za pomyślny traf.

Dorożkarz wciąż siedział na kozle.

– Proszę zejść, dobry człowieku – powiedziałam. Niefrasobliwie ściągnęłam z głowy kapelusz wraz z peruką i cisnęłam go na pobliską belę siana. Poczciwy woźnica aż sapnął ze zdumienia, ale nie zaprzętałam sobie głowy jego konfuzją. – Ile pan zazwyczaj zarabia w ciągu dnia?

Zdążył już zleźć z kozła i staliśmy twarzą w twarz. Kilka razy otworzył i zamknął usta, jak wyciągnięta z wody ryba, zanim zdołał wydukać:

– Jak się trafi dobry dzień, to i ze trzy funty.

– Dostanie pan dziesięć za użyczenie mi konia, pojazdu, kapelusza i płaszcza.

Wprawdzie ślubowałam sobie nigdy nie udawać mężczyzny, pocieszałam się jednak tym, że nie będzie to do końca męskie przebranie, ponieważ nie włożę spodni. Nikt nie zobaczy, że jestem w spódnicy, jako że na kozioł wiodły z obu stron drzwiczki, które po zamknięciu zasłaniały dolną część ciała powożącego.

– Proszę. – Wcisnęłam zdumionemu dorożkarzowi banknot dziesięciofuntowy.

Oczywiście nie obyło się bez trudności. Przez dobrych kilka minut musiałam użyć wszelkich, nie

tylko finansowych, środków perswazji. Z chęcią zaoferowałbym mu o wiele więcej, ale pech chciał, że trafiłam na wyjątkowo uczciwego człowieka, który miał obawy, czy nie wykorzystam jego dorożki do jakichś niecznych celów. Zapewniałam go solennie, że mam jak najbardziej godziwe i niekolidujące z prawem zamiary, że zachowam należyłą ostrożność i że o zmirzchu zwrócę mu jego własność.

W istocie zależało mi wyłącznie na jednym: chciałam mieć pewność, że Sherlock Holmes nie przeszkodzi mi – nawet gdyby znów miał zaprząć do pomocy owczarka Reginalda – w realizacji mojej misji, a wybierałam się na East End, by odszukać ropuchowatą staruchę ze szczecina na brodzie. Wstrętne babsko, które zwabiło księżnę del Campo na peron stacji londyńskiego metra.

Byłam na dziewięćdziesiąt procent pewna, że była to pani Culhane'owa, handlarzka starzyzną.

Traf chciał, że przy okazji pewnej wcześniejszej przygody miałam nieprzyjemność poznać tę tajemniczą osobę. Spotkałam ją w pociągu, którym przed rokiem zmierzałam do Londynu. Wówczas też miała na głowie wyświechtane i przypominające rozplaszczony grzyb nakrycie głowy. I chociaż w Londynie mogą mieszkać setki, a nawet i tysiące brzydkich starych kobiet w znoszonym słomkowym kapeluszu, to ile z nich zajmowało się handlem ubraniami? Co więcej, pani Culhane'owa dała się poznać jako osoba bezwzględna i gotowa na ryzyko, więc instynkt podpowiadał mi, że to ona zaczęła księżnę przy stacji metra. Byłam pewna, że nie mogła przeprowadzić całej nikczemnej operacji sama, wiedziałam też, jakich ma znajomych. Niewątpliwie na peronie czekała na nią para opryszków. I choć nie miałam jeszcze najmniejszego pojęcia, jak podejść to podłe babsko, to ze sporą dozą szczerości zapewniłam dorożkarza, że jego koń i pojazd są mi potrzebne do przeprowadzenia pewnego aktu miłosierdzia.

Słyszając to, przewrócił oczyma i w końcu się poddał.

– Robię z siebie durnia, ale dobrze. Jeśli chodzi tylko o tę jedną sprawę, zgoda. Niech pani zapisze moje nazwisko i adres na kartce i umieści ją w pojeździe. Żeby do mnie wrócił, gdyby coś poszło nie tak.

Natychmiast spełniłam jego prośbę, wyciągnąwszy z za dekoltu papier i ołówek.

– A pani szanowna jakie nosi nazwisko?

Słyszając te słowa, przypomniałam sobie, że czas ściągnąć obrączkę. Wylądowała na peruce. A na pytanie poczciwca odpowiedziałam z roztargnieniem:

– Wielkie nieba, w tej chwili nie pamiętam. Mam ich tyle.

Nie wiedzieć czemu to niefrasobliwe i kuriozalne oświadczenie rozwiązało ostatecznie jego wątpliwości. Otrząsnął się, a na twarzy zamajaczył mu cień uśmiechu. Zaczekał dyskretnie, aż wybrudzę sobie nieco twarz, ukryję spięte w koczek włosy pod jego melonikiem i zakryję górę sukni, która na szczęście nie była zapinana pod szyję, jego płaszczem. Podał mi rękę (pozwoliłam mu na ten uprzejmy gest, choć nie potrzebowałam pomocy), kiedy wdrapywałam się na kozioł, po czym zamknął drzwiczki, ukrywając spódnicę przed wzrokiem osób postronnych. Potem wręczył mi bat i lejce, wyprowadził konia ze stajni i powiedział:

– Proszę na siebie uważać.

Ruszyłam z turkotem kół po londyńskiej ulicy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Mając raczej szcątkowe pojęcie o powożeniu, czułam się lekko przerażona, siedząc nad budą dorożki. Nie żebym miała lęk wysokości – przecież bez obaw wdrapywałam się na niebotyczne drzewa – jednak teraz znajdowałam się nad daszkiem przemieszczającej się dwukółki. I to w niebezpiecznej odległości od innych, również będących w ruchu, pojazdów. Musiałam lawirować między powozami i wozami drabiniastymi, dorożkami i furgonami. Niektóre były lekkie i szybkie, inne ciężkie i powolne. Część podążała w tę samą stronę co ja, część nadjeżdżała z naprzeciwka. W każdej chwili koła mojego pojazdu mogły się otrzeć o koła innego pojazdu, istniało też ryzyko zakleszczenia dyszli. Zdarzają się takie przypadki, kończące się zwykle awanturą, a nawet rękoczynami.

Na całe szczęście nie spotkało mnie nic złego. Koń, o jakże trafnie dobranym imieniu Kasztanek, doskonale znał się na rzeczy. Truchtał spokojnie i nienerwowo, ratując mnie z opresji.

– Dorożka! – zaskrzeczały nagle unisono dwa dyszkanty.

Moim oczom ukazała się para bodaj najwspanialej odzianych, najbardziej obwieszonych klejnotami i obdarzonych największymi biustami matron, jakie kiedykolwiek chodziły ulicami Londynu. Zdumiałam się na ich widok, ale przytomnie pokręciłam głową na znak, że mam inne zlecenie. Minąwszy je, od razu zaczęłam żałować, że nie udało mi się obryzgać ich sukien błotem spod kół. Były to bowiem dwie jędzowate ciotki lady Cecily, które za cichym przyzwoleniem jej ojca trzymały ją pod kluczem i głodziły, by zmusić do ślubu z obcym jej człowiekiem. Cecily wróciła już na szczęście pod skrzydła kochającej matki i nic jej nie zagrażało. Może jeszcze kiedyś ją spotkam? Ta myśl wywołała uśmiech na mojej twarzy. Jechałam dalej, wciąż nie mając pojęcia, jak rozegram to, co postawiłam sobie tego dnia za cel.

Planowałam bowiem odwiedzić Skład Używanych Ubrań Pani Culhane'owej i dokładnie obejrzeć oferowany na sprzedaż towar. Jednak gdyby właścicielka mnie rozpoznała, znalazłabym się w wielkim, może nawet śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Odsunęłam od siebie tę myśl, żywiąc nadzieję, że mój nieszablonowo działający umysł sam sobie poradzi z tym problemem. Tymczasem dotarłam już na przedmieścia zamieszkałe przez uboższe warstwy społeczeństwa. Jadąc wąskimi uliczkami, co chwilę mijałam przekupniów stojących przy wozach lub dźwigających kosze, z których wydobywały się nader kuszące zapachy. Zatrzymałam się przy jednym z nich i zakupiłam placek z mięsem. Wskazałam końcem bata, czego sobie życzę, i rzuciłam sprzedawcy dwupensówkę. Zawinąwszy mój skromny obiad w szary papier, uniósł pakunek w górę, bym mogła po niego sięgnąć. Wokół mnie po brukowanej uliczce krążył tłumek robotników, małych uliczników, panien sklepowych i praczek. Część z nich zgromadziła się wokół obdartusa z żółwim. Trzymając w górze przysmak, nakłaniał gada, by ten stanął na tylnych nogach. Żółw wyciągał głowę coraz wyżej i wyżej, aż w końcu stracił równowagę i przewrócił się na grzbiet, kołysząc się na skorupie ku uciesze gapiów jak koń na biegunach.

Pogryzałam placek i przyglądałam się temu z wyżyn kozła. Przyłączyłam się do ogólnej wesołości i kręcąc z niedowierzaniem głową, rzuciłam właścicielowi żółwia miedziaka. Ulice East Endu to nieprzebrane źródło niespodzianek. Nigdy nie wiadomo, czy spotkamy tam sprzedawcę pierników, czy tańczącego niedźwiedzia, czy trafimy na kobiecinę handlującą guzikami i sznurowadłami, czy na bezczelnego żebraka. Właśnie wypatrzyłam takiego. Oferował na sprzedaż zapałki, przystanąwszy obok kramiku sprzedawcy cygar. Cuchnące paskudztwo. Nie mieściło mi się w głowie, jak mężczyźni mogą się delectować tak smrodliwą „przyjemnością”. Chociaż zdarzają się i kobiety, na tyle zuchwałe i zepsute...

Zaraz.

Głównie aktorki, ale czasem widywało się także...

Odważyłabym się?

Ojej. Co szkodzi spróbować?

Pomyślałam, że dałabym radę, zwłaszcza gdybym schowała swoją strojną wierzchnią spódnice pod płaszczem.

Czy mój wygląd wywarłby na starej Culhane'owej zamierzone wrażenie?

Niemal z całą pewnością tak.

A więc dobrze, zrobię to!

Stałam na kozle i zaczęłam podciągać kropkowaną niebieską draperię w górę, nie przejmując się okrzykami i spojrzeniami zaskoczonych w dwójnasób mieszkańców East Endu – nie dość, że kobieta powozi dorożką, to jeszcze się częściowo obnaża publicznie! Było mi obojętne, co sobie myśleli, bądź co bądź oglądali mnie pierwszy i ostatni raz.

Kiedy ponownie usiadłam, chowając nogi i puszczając mimo uszu okrzyki, śmiechy i kilka gwizdnięć, zaangażowałam wszystkie swoje skąpe umiejętności, by zawrócić pojazd. Ujchawszy kilka kroków, zatrzymałam się, po czym nabyłam cygareto i zapalniczki. Zapaliłam śmierdziucha, a następnie wcisnęłam go za lampę dorożki i ponownie zawróciłam potulnego i cierpliwego Kasztanka. Podążyliśmy na wschód.

Kiedy dotarłam do rogu Saint Tookings Lane i Kipple Street, cygareto zżarzyło się już do połowy i ku mojej wielkiej uldze zgasło. Nie miałam pojęcia, jak toto palić, ani najmniejszej ochoty na nadrobienie tej luki w edukacji. Zależało mi jedynie na stworzeniu pewnych pozorów.

Wsunęłam cygareto w kącik ust i przygryzłam jego nienadpalony koniec z miną, która miała być wyjątkowo nieprzyjemnym grymasem.

Po chwili zajechałam pod sklep pani Culhane i niemal natychmiast obstała mnie gromadka przekupek i uliczników. Dorożka była w tych stronach sensacją. Zainteresowanie gapiów wzmożło się jeszcze bardziej, kiedy zsiadłam z kozła. Widok granatowej spódnicy wywołał liczne sapnięcia i pomruki. Na ulicach Londynu z rzadka spotkać było można tak zwane chłopczyce – kobiety budzące zgorszenie brakiem poszanowania dla wymogów damskiej mody i etykiety. Najczęściej towarzyszył im paskudny buldog na smyczy. Nie dysponując takowym, obrzuciłam gapiów złowrogim spojrzeniem, potrząsnęłam batem i przywiązałam Kasztanka do latarni. A potem, nie wypuszczając bata z rąk, pomaszero wałam zamaszystym krokiem w stronę Składu Ubrań Używanych.

Zastałam jego właścicielkę wewnątrz. Z wyglądu przypominała widzianego przed chwilą stojącego na tylnych łapach żółwia, z zachowania – rozwścieczonego jeża. Nie chciałam pokazywać jej twarzy, więc zerkałam na nią kątem oka. Z zadowoleniem zobaczyłam, że trzęsie z oburzenia szczeciniastą brodą, a jej tłuste łapska szybują ze zgrozą w górę. Modliłam się w duchu o to, by szok spowodowany widokiem cynicznie uśmiechniętej kobiety z cygarem w zębach i w meloniku na głowie uniemożliwił jej dokładniejsze przyjrzenie się mojemu obliczu.

Przemknęłam obok niej możliwie jak najszybciej i ruszyłam na tył sklepu, przebiegając wzrokiem po oferowanych na sprzedaż fatałaszki. No i proszę! Na honorowym miejscu wyeksponowano należąca do księżnej Blanchefleur suknię z jedwabnej mory i parasolkę z takąż falbaną oraz długi, obsyty brokatem gorset z łyżkowymi brykami i kilka luksusowych halek, które również mogły stanowić własność nieszczęsnej księżnej.

No dobrze, ale co dalej? Do licha, jeśli zacznę wypytywać, babsztyl nabierze podejrzeń, zresztą i tak pewnie nie wyciągnę z bezzębnego straszdyła żadnych informacji. Najlepiej będzie pozostawić suknię i parasolkę na miejscu i powiadomić policję. Musiałam jednak znaleźć coś, co mogłabym przedstawić jako dowód rzeczowy. Chusteczkę? Czyż obie panny Mary nie wspominały o tym, że ich chlebobawczyni nie rozstaje się z chusteczką?

Podeszłam do kosza, w którym wyłożono damskie chustki do nosa, pogrzebałam w nim chwilę, po czym wyciągnęłam bardzo znajomo wyglądający egzemplarz. Przyjrzałam mu się uważnie.

Tak. W jednym z rogów wypruto czerwone i złote nici, jednak na płócienniku pozostały ślady po igle układające się w monogram DdC.

Duquesa del Campo.

Lekceważącym ruchem rzuciłam starej szylinga na podłogę i opuściłam sklep, unosząc swoją zdobycz.

Kiedy odwiązałam konia, wdrapałam się na kozioł i ruszyłam w drogę powrotną, zerknęłam przez otwarte drzwi do wnętrza sklepu, by ze złośliwą satysfakcją ujrzeć panią Culhane pełzającą na czworakach w poszukiwaniu monety. Najwidoczniej chciwość wzięła górę nad zgorszeniem.

Skręciwszy w najbliższą przecnicę, z radością wyrzuciłam cygareto na bruk, wdychając z ulgą.

Nagle poczułam, jak ogarnia mnie zmęczenie. Tak, chusteczka spoczywała bezpiecznie w kieszeni mojego pożyczonego płaszcza. Tak, miałam dowód na to, że moja hipoteza dotycząca przyczyny uprowadzenia księżnej Blancheffleur okazała się trafna. Odarta z ubrań *duquesa* wciąż przebywała na East Endzie. Dlaczego? Tego na razie nie wiedziałam. Choroba? Szaleństwo? Brak środków? Uwięzienie przez niezidentyfikowanego złoczyńcę?

Jak dotąd nieźle. Ale co teraz?

Zastanawiając się, czy powiadomić Scotland Yard, czy też zrobić to dopiero po wyjawieniu swych podejrzeń księciu, zmierzałam w stronę West Endu z zamiarem zwrócenia Kasztanka i dorożki ich właścicielowi. Im bliżej centrum miasta, tym bardziej ruch uliczny gęstniał. Kłus Kasztanka przerodził się w stęp, a po pewnym czasie moja dorożka ugrzęzła w ulicznym korku. Zanosilo się na parę minut stania. Westchnęłam i chcąc się czymś zająć, wyciągnęłam z kieszeni chustkę księżnej.

Przyglądając się jej w świetle dnia, zauważyłam coś, co umknęło mojej uwadze w mrocznym wnętrzu sklepiku pani Culhane.

Był to chyba najbardziej obrzydliwy uśmiech losu, jaki mnie kiedykolwiek spotkał. Chociaż pani Culhane dołożyła wszelkich starań, by usunąć haftowany monogram, nie zadała sobie trudu wyprania chustki. Zostały na niej wyraźne ślady po wytarciu nosa.

Przypomniało mi się, że jedna z dam dworu wspomniała o nękającej księżnę Blancheffleur astmie. Czyżbym trzymała w ręku resztki wydzieliny nosowej zaginionej arystokratki?

Mało apetyczny, choć z pewnością słuszny wniosek.

Choć przejęta obrzydzeniem pospiesznie schowałam skalany batystowy kwadracik do kieszeni, w głowie zaświtała mi nagle pewna myśl. A jeśli na chusteczce wciąż utrzymuje się zapach nieszczęsnej Blancheffleur?

Jeśli tak, to być może – oby! – nie będę musiała zapuszczać się w tunele metra przy stacji Baker Street ani nie będę zmuszona badać miejskich ścieków. Przy odrobinie szczęścia uda mi się uniknąć ryzykownej eskapady! Zamiast tego... przyznaję, że pomysł podsunęła mi seria wydarzeń zainicjowanych przez Sherlocka... Misję odnalezienia zaginionej można przecież powierzyć psu, dawszy mu uprzednio do obwąchania chusteczkę jej książęcej mości.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ta niespodziewana myśl sprawiła, że otworzyłam szeroko oczy i wyprostowałam się jak struna. Nagły przyływ nadziei tak mnie pobudził, że moje emocje popłynęły po lejcach jak po drucie telegraficznym i dotarły do poczciwego Kasztanka. Koń podniósł łeb, prychnął i ruszył naprzód, ciągnąc dorożkę przez prześwit, który sama uznałam za nazbyt wąski. Chwilę później skręciliśmy w boczną drogę prowadzącą przez labirynt podwojek i zaułków, z którego wyjechaliśmy nieopodal Marylebone Garden. Odzyskawszy wigor, kazałam Kasztankowi wyprzedzić omnibus i wjechać w Baker Street, gdzie przeszedł w kłus...

– Dorożka!

Dźwięk tego władczego głosu poruszył w moim sercu jakże czułą strunę. Natychmiast ściągnęłam lejce, chociaż rozsądniej i bezpieczniej byłoby jechać dalej. Bezsensowne, bezmyślne posłuszeństwo! Nie śmiałam spojrzeć na mężczyznę, który nas zatrzymał, w obawie, że ujrzy moją twarz. Ale kiedy pochyliłam się, by ująć dźwignię i otworzyć pasażerowi drzwiczki, dostrzegłam wysoką, smukłą sylwetkę. Towarzyszyli mu dwaj panowie nieco bardziej przysadzistych kształtów. Cała trójka wsiadła do dorożki.

Sherlock Holmes, Mycroft Holmes i doktor Watson!

Jakoś udało im się z trudem pomieścić w środku. Odsunęłam okienko w dachu i najgrubszym, najbardziej gardłowym głosem z mojego repertuaru oznajmiłam z cockneyowskim zaśpiewem:

– Trza będzie dopłacić za nadliczbowy ciężar.

– Zgoda. Wieź nas pan na Oakley Street – odpowiedział mój brat.

Aha. Z całą pewnością jadą na spotkanie z księciem Luisem Orlando del Campo.

– Jak pan sobie życzy – wymamrotałam i zasunęłam znajdujące się tuż nad głową brata okienko. Ale nie do końca. Liczyłam na to, że uda mi się coś podsłuchać.

Niestety, pieroński szum wielkiego miasta, a zwłaszcza turkoczące o bruk podkute metalem koła mojej dorożki, skutecznie zagłuszyły dochodzącą z wnętrza rozmowę. W pewnej chwili jednak Sherlock podniósł głos.

– ...eksperyment, drogi Mycrofcie, zwykły eksperyment! Wpadłem na myśl, że ten stary collie mógłby wytropić naszą narowistą i nieuchwytną siostrę. Zresztą i tak musiałem odwiedzić Ferndell, żeby zabrać to coś.

„To coś”, jak wywnioskowałam z okrzyków jego rozmówców, odnosiło się do opakowania z szarego papieru z wyrysowanymi na nim węglem deseniami. Najwidoczniej nie chciał informować towarzyszy, że owczarek Reginald już mnie wytropił i że on sam, Sherlock, słynny detektyw, ponownie stracił mnie z oczu, więc dla odwrócenia uwagi wyciągnął z neseseru „to coś”.

– Czy któryś z was ma pomysł, co te gryzmoły mogą oznaczać?

Cicha odpowiedź Watsona utonęła w ulicznym zgiełku, za to Mycroft zaczął mówić głośno i wyraźnie, klarując bratu rozemocjonowanym i pompatycznym tonem:

– Mój drogi, czyż to nie jest oczywiste? No tak, masz rozległą wiedzę w wielu dziedzinach, a jednak chyba za rzadko sięgasz po literaturę antropologiczną, inaczej byś wiedział, że te szlaczki i obramowanie środka pełnią funkcję ochronną, oddalającą złe moce. Coś musiało przerazić nadawcę, więc postanowił zabezpieczyć przesyłkę.

– A oczy?

– To odpowiednik egipskiego oka Horusa i hinduskiego trzeciego oka...

– Na miłość boską, mój drogi człowieku – przerwał mu Watson, tym razem odzywając się nieco głośniej. – Żyjemy w Anglii, w końcu dziewiętnastego wieku!

– Tak, a jednak nasze kobiety wciąż obszywają rąbki spódnic i rękawy falbanami, które nie mają żadnego praktycznego uzasadnienia...

– Służą ku ozdobie!

– ...poza tym, że od pierwotnych czasów wszystkie otwory w ubiorach trzeba zabezpieczać magicznymi symbolami, by uniemożliwić złym duchom przeniknięcie do środka! – Mycroft przerwał na chwilę, po czym zwrócił się do Sherlocka: – Kto ci to przysłał?

Brat odpowiedział mu tak cicho, że chociaż nadstawiałam uszu, nie zrozumiałam z jego wypowiedzi ani słowa. Nie wiem, co usłyszał Mycroft na temat Ferndell, mamy i mnie. Usłyszałam tylko jego okrzyk:

– Dziewuszyisko ma nerwy ze stali!

„Akurat...”, pomyślałam z przekąsem. Ani on, ani Sherlock nie mieli najmniejszego pojęcia o stanie moich nerwów. Były napięte jak postronki i w każdej chwili mogły trzasnąć z hukiem tuż nad denkami ich cylindrów. Zazdrościłam spokoju ducha Kasztankowi, który dzielnie ciągnął przeciążoną dwukółkę.

Im bliżej byliśmy nabrzeża, tym bardziej gęstniał ruch uliczny i wzrastał hałas. Po wjechaniu na Strand dorożka przemieszczała się już w żółwym tempie. Ponieważ pasażerowie nie zgłaszali żadnych uwag, wołałam nie ryzykować przeciskania się między innymi pojazdami. Kasztanek włókł się noga za nogą, aż wreszcie na wysokości dworca Charing Cross wszystko stanęło, jakby właściciele londyńskich pojazdów zmówili się, że jednocześnie tam przybędą. Na jakiś czas ucichł ogłuszający hurkot kół. Oczywiście wokół nas wciąż panował zgiełk – gdzieś przede mną kilku woźniców obrzucało się przekleństwami – jednak wykorzystałam mniejsze jego natężenie, by posłuchać, co się działo pod budą mojej dorożki. Uchyliłam nieco szerzej okienko w dachu.

– Dlaczego nikt nie zażądał okupu?

Aha. Rozmowa zesłała na sprawę zniknięcia księżnej. Watson jak zwykle był w kropce.

– Jest wiele możliwych przyczyn – odparł Sherlock rzeczowym tonem. – Żadna z nich nie napawa optymizmem. Załóżmy, że faktycznie porwanie miało na celu wyłudzenie pieniędzy. Porywacze mogli się wystraszyć i w obawie, że księżna zgłosi sprawę policji, pozbyli się jej.

– Mój drogi Holmesie! Z pewnością...

– Niestety, na razie nic nie jest tu pewne. A powód porwania może być zupełnie inny, na co wskazywałaby obecność starszej kobiety, która być może para się stręczycielstwem, w związku z czym księżna zasilila szeregi luksusowych przedstawicielek najstarszego zawodu świata.

– Los gorszy niż śmierć! – zakrzyknął Mycroft.

– W rzeczy samej.

Watson nie chciał przyjąć tego do wiadomości.

– Nie popadajmy w czarnowidztwo. Czy na pewno możemy wykluczyć, że księżna...

– A! Nawiązujesz do tego, co wydarzyło się w mojej rodzinie? – domyślił się od razu Sherlock.

– Opowiadasz się za hipotezą, że młoda dama uciekła z własnej nieprzymuszonej woli?

Ton głosu Watsona mógłby sugerować, że biedak się zaczerwienił.

– Z pewnością nie możemy tego wykluczyć.

– Nie możemy, aczkolwiek jest to mało prawdopodobne.

– Nie dziwiłbym się żonie, gdyby miała dość towarzystwa tak wybuchowego i egzaltowanego...

– Słowa godne chłodnego Brytyjczyka i byłego wojaka, Watsonie – przerwał mu ubawiony Sherlock. – Przypisujesz nieistniejące wady nader przystojnemu i bogatemu cudzoziemcowi.

– Jego żona jest Brytyjką, prawda?

– W połowie – doprecyzował Mycroft. – Jej matka jest Francuzką.

– No właśnie – upierał się biedny Watson. – Młoda półkrwi Francuzeczka, być może nieszczęśliwa u boku starszego męża...

– Watsonie, kobiety, niezależnie od sytuacji, w jakiej się znalazły, bardzo rzadko uciekają z domu. – W głosie Sherlocka zaczynało pobrzmiwać zdenerwowanie. – Poza dwoma pożałowania godnymi przypadkami, z którymi się zetknąłem...

Skruszony Watson zawołał przepaszająco:

– Nie posądzasz mnie chyba, że nawiązuję do nieszczęścia, które dotknęło waszą rodzinę!

Na dalekim krańcu ulicy coś się wreszcie rozluźniło i kawalkada pojazdów ruszyła ponownie. Przeciągnęłam rzemieniem bata po zadzie Kasztanka na znak, że może zacząć iść. Dalsze słowa trzech rozmówców utonęły w stukocie kopyt i hurkocie toczących się kół. Dojechałam do Oakley Street i ściągnęłam koniowi lejce. Całe szczęście, że w ostatniej chwili przypomniałam sobie, że udaję dorożkarza i że nie podano mi przecież dokładnego adresu. Odsunęłam okienko w dachu. Ukazała się

w nim dłoń mojego brata z dość okazałą kwotą. Przyjęłam zapłatę, a on machnął ręką na znak, że nie muszę wydawać reszty. Nie zdążyłam schować pieniędzy, kiedy Sherlock, Mycroft i Watson otworzyli sobie drzwiczki i wysiedli. I bardzo dobrze, bo przez własne gapiostwo nie przesunęłam dźwigni.

– Jaką strategię chcesz doradzić diukowi? – spytał Watson, kiedy znaleźli się na zewnątrz.

– To nie diuk, tylko *duque* – poprawił go Sherlock z lekkim przekąsem. Chyba jednak Watson nie był odosobniony w swej niechęci do cudzoziemców. – Może podsunę mu myśl, że jego żona uciekła przez tunel metra, a obecnie mieszka z moją siostrą.

– No nie, drogi Holmesie. Czyżbyś naprawdę nie miał żadnej sensownej hipotezy?

– Moi informatorzy milczą. Snuję domysł za domysłem, ale każdy z nich prowadzi donikąd. Niepotrzebnie się podjąłem rozwikłania tej zagadki – stwierdził Holmes z goryczą, kiedy wszyscy trzej podążali w stronę fantazyjnej mauretańskiej budowli. – Szukanie zaginionych to najwyraźniej moja pięta achillesowa.

– Nonsens. Już co najmniej tuzin razy byłeś o krok od odnalezienia siostry.

„Tuzin plus jeden raz”, pomyślałam, po czym zawróciłam i ruszyłam w drogę powrotną. Serce mi krwawiło. Słyszając głos brata, nie mogłam opanować wzruszenia, zwłaszcza że mówił o mnie z tak wielką goryczą.

Jednak nic nie mogłam na to poradzić. A robota czekała.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Po odstawieniu konia z dorożką do skromnej stajenki oraz zwróceniu płaszcza i melonika ich prawowitemu właścicielowi – nie szczędziłam przy tym szczerych słów wdzięczności – powróciłam do swojego porannego wcielenia, czyli istoty w kropkowanym błękitcie, peruce i kapeluszu. Schowawszy do kieszeni obrączkę (nie przejęłabym się jej utratą, miałam ich kilka), udałam się do swojego lokum, marząc o tym, by jak najszybciej się umyć i przebrać. Czułam się bardzo nieświeżo. Cała przesiąkłam zapachem stajni, a na spódnicy widniały ślady psich łap.

No i przed wprowadzeniem w życie planu ratowania księżnej należałoby zjeść kolację.

Kiedy rozpinałam stanik sponiewieranej sukni, moje palce natrafiły na serpentynę sklejoną ze sobą pasków papieru.

Wiadomość od mamy.

A niech to.

Chociaż chciałam odwlec tę chwilę, wiedziałam, że nie będę mogła rozmówić się z Sherlockiem, zanim nie odczytam *skytale*. A musiałam się z nim rozmówić, żeby mógł zaprząć Reginalda do pomocy. I to najlepiej jeszcze tego wieczoru.

Siedziałam rozebrana do bielizny w oczekiwaniu, aż pokojówka wniesie na górę gorącą wodę niezbędną do ablucji. Korzystając z wolnej chwili, rozprostowałam paski papieru. Okazało się, że są ich cztery, a każdy z nich znacznej długości. Ułożyłam je na łóżku i przyglądałam im się, usiłując myśleć. Mama owinęła je wokół jakiegoś walca, zakładając z pewnością, że mam gdzieś pod ręką przedmiot takiej samej grubości. Ale co to mogłoby być? Przecież ona wędruje gdzieś z Cyganami, a ja mieszkam w Londynie...

To na pewno coś o sporym obwodzie. Można było to wywnioskować z szerokości pasków. Czyli z pewnością nie pędzel, chociaż mama była zapaloną malarką.

Co jeszcze lubiła? Zbieranie polnych kwiatów, wędrowki wśród dzikich ostępów... Może kostur? Ale przecież nie posługiwałabym się czymś takim w mieście.

Ach... Zastanówmy się, czy mogę mieć pod ręką coś, czym dysponowałaby mama. Trzeba się przestawić na tor jej myślenia.

Nie było to łatwe, ponieważ nigdy jej do końca nie rozumiałam. Spróbowałam jednak. Co najczęściej robiłyśmy razem? Czytałyśmy książki? Tak, ale nie przypominam sobie, by któraś z nich miała postać cylindrycznego zwoju. Zbierałyśmy kwiaty i tworzyłyśmy z nich bukiety? No tak, ale każdy wazon miał inny kształt i rozmiar. Wyplatałyśmy koszyki i budowałyśmy z prętów klatki dla ptaków? Mama na pewno nie. Nie była domatorką. Woliała spędzać czas na zewnątrz. Zadbła o to, żebym miała huśtawkę, zachęcała mnie do łażenia po drzewach, nauczyła jeździć na rowerze...

Rozmyślenia przerwało mi pukanie, a po chwili do pokoju weszła pokojówka, przynosząc mi dzban z parującym wrzątkiem.

Umywszy się, zaczęłam eksperymentować. Owinęłam jeden fragment *skytale* wokół cokołu lampy podłogowej. Wypróbowałam wszelkie możliwe konfiguracje, jednak bez zadowalających efektów. Niepowodzeniem zakończyły się także próby wykorzystania lampy biurkowej i jednej z kolumniek balustrady przy schodach. Nie potrafiłam nawet określić, czy poszukiwany przedmiot ma być od niej grubszy, czy cieńszy. Niezwykle frustrujące.

Mimo niepowodzenia zaraz po kolacji udałam się do Sherlocka. By utrzcę trochę zarozumiałcowi nosa, ubrałam się jak w dniu, w którym mnie nie rozpoznał, gdy rozmawiał ze mną w saloniku doktorowej Watson. Nie założyłam obrączki, ponieważ przeistoczyłam się ponownie w pannę Violę Everseau. Wszystkie elementy mojego ubioru: wyglancowane trzewiki zapinane na guziczki, skromna, acz urocza, jasnożółta suknia, muśnięta pudrem ryżowym twarz, pieprzyk na skroni, starannie ufryzowana peruka i przewiązana szarfą miękka słomkowa budka ozdobiona kwiatami (jak na ironię tego typu nakrycie głowy nazywano „cygańskim czepkiem”) – składały się na zmyślny kamuflaż. Ukryłam się za fasadą piękna.

Wiem, że to małosłowne, ale podobnie jak brat lubiłam dreszczyk towarzyszący poczuciu triumfu. Do torby podróżnej spakowałam inny zestaw ubrań, odpowiedniejszych na naszą wspólną nocną

akcję. Bardzo liczyłam na to, że brat zechce mi jednak pomóc. W przeciwnym razie znów będę skazana na działanie w pojedynkę. Do czego, jako samotnica Enola *alone*, zdążyłam już przywyknąć.

Postanowiłam, że jeśli nie zastanę brata w domu, to i tak tam na niego zaczekam. A jednak, choć lipcowe słońce jeszcze nie zaszło, spodziewałam się, że Sherlock będzie już u siebie, regenerując siły po długim i męczącym dniu.

Pani Hudson potwierdziła moje domysły, oznajmiając mi, że go zastałam. Złożyłam na srebrnej tacce wizytówkę z napisem:

Panna Viola Everseau

Chwilę później na piętrze rozległy się gniewne okrzyki. Domyśliłam się, że pani Watson zdradziła mojemu bratu imię i nazwisko nieznajomej, którą spotkał w jej salonie. A Sherlock miał świetną pamięć.

Zaraz potem po schodach zbiegł do mnie rozszczękany radośnie owczarek Reginald. Czując, że zechce na mnie skoczyć, uprzedziłam jego zamiar, chwytając go za przednie łapy.

– Tej sukni nie możesz zniszczyć – oświadczyłam mu z czułością. – A przynajmniej do czasu, aż zobaczy ją Sherlock.

– Widzę ją – oznajmił szorstko znajomy głos ze szczytu schodów. I jakby wypracowana z mozołem uroda siostry nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia, Sherlock od razu zmienił temat: – Czy udało ci się odszyfrować wiadomość od naszej matki?

Weszłam po schodach, starając się nie uśmiechać zbyt szeroko. Ale nie odpowiedziałam mu, dopóki nie stanęliśmy twarzą w twarz. Wówczas oświadczyłam:

– Próbowалам, ale bez skutku. Jednak w tej chwili nie jest to najważniejsze. Pojawiła się pilniejsza sprawa.

– Ale co mogłoby...?

– Odkryłam, co spotkało księżną del Campo, i wiem, jak moglibyśmy ją odnaleźć.

Uniósł wysoko brwi. Myślałam, że z zaskoczenia moim odkryciem, ale nie.

– „Moglibyśmy”?

– Reginald i ja. Ale oczywiście możesz iść z nami.

Sherlock nabrał w płuca powietrza i wypuścił je głośno, zanim powiedział:

– O tym porozmawiamy później. Przyznaję, że o ile mam dość dobre pojęcie o tym, jak funkcjonuje mózg kryminalisty, to w żaden sposób nie potrafię zrozumieć, co się roi w twojej głowie. Zjawiasz się tu bezczelnie pewna siebie, choć wcześniej uciekałaś ode mnie w popłochu. Dlaczego?

– Przecież to oczywiste. Miałam do załatwienia pilną sprawę, a wiedziałam, że zechcesz mnie zatrzymać.

– Doprawdy. – Przyjrzał mi się badawczo, jakbym była jakimś dziwnym okazem przyrodniczym, po czym powiedział: – Zmieniłem zdanie w sprawie twojej przyszłości, Enolu. Współczuję mężczyźnie, który odważy się poślubić taką kobietę jak ty. Uważam, że nie powinnaś wychodzić za mąż.

Niespodziewana zmiana tematu. Ale jego uwaga wcale mnie nie zabolala, ponieważ w duchu przyznawałam mu rację.

– Wejdźże w końcu. No, wejdź! – rzucił zniecierpliwionym tonem, zapraszając mnie gestem dłoni do swojego gabinetu. Zrzucił z krzesła gazety i wskazał mi miejsce.

– Chciałabym studiować na uniwersytecie – zwierzyłam mu się, siadając i układając wdzięcznie fałdy spódnicy. Reginald umościł się u moich stóp. – Renesans, niemieccy klasycy, logika, retoryka...

Brat przerwał mi, robiąc zbolala minę, jakby dopadła go nagła migrena.

– Mówiłaś, że odkryłaś coś w sprawie księżnej del Campo.

– Tak. Udało mi się wytropić staruchę, która zwabiła ją na peron stacji metra. Bo chociaż w Londynie znalazłyby się pewnie setki przysadzistych kobiet ze szpeceniastą brodą, noszących niegustowne nakrycia głowy, to jednak trafił mi się ktoś, kto znał, że poznałam kiedyś wyjątkowo paskudną przedstawicielkę tego gatunku. I na niej skupiłam swoją uwagę. – W wielkim skrócie, nie zdradzając sposobu, w jaki tam dotarłam, opisałam bratu swoją wizytę w sklepie pani Culhane oraz to, co tam zobaczyłam: suknię, parasolkę i halki będące własnością Blanche fleur.

– Jesteś pewna, że to były ubrania księżnej?

Tylko mężczyzna mógłby zadać tak niemądre pytanie. Chociaż powinnam chyba użyć określenia „dżentelmen”. Panowie należący do wyższych sfer ubierają się bowiem niemal identycznie. Nawet teraz, w nieco zabałaganionym zaciszu swego gabinetu, brat przyjmował mnie w wyjściowym stroju miejskim, na który składała się antracytowa kamizelka, czarny surdut i biała koszula ze starannie wykrochmalonymi mankietami i kołnierzykiem, co upodabniało go do tysięcy innych pingwinowatych panów. Najwyraźniej amatorzy powtarzalnych do znudzenia strojów nie są w stanie dostrzec zróżnicowanych ubiorów dam.

Dlatego też objaśniłam Sherlockowi łagodnie:

– Mój drogi braciszku, znam się na sukniach tak dobrze jak ty na popiele z cygar. Jestem najzupełniej pewna, że to elementy jej garderoby.

– A nie mogłaś zabrać stamtąd czegoś, żeby mieć w rękę dowód?

– Mogłam i zabrałam. – Wyciągnęłam zza gorsu obszytą wenecką koronką chusteczkę. – Widziałam takie same w buduarze księżnej Blanchefleur. Tyle że z monogramem, który z tej chusteczki wypruto, co widać gołym okiem.

– Rzeczywiście. DdC. *Duquesa* del Campo. – Przychodziło mu to z trudem, ale starał się przyjąć ten fakt do wiadomości. – Wygląda na to... chociaż to zupełnie nieprawdopodobne... Ale dlaczego, na miłość boską, złoczyńcy wybrali sobie spośród wszystkich londyńskich strojniś właśnie tę nieszczęsną kobietę?

Udzieliłam odpowiedzi, zanim sama się zorientowałam, że ją znam.

– Z powodu jej niezwykle długich i bujnych złotomiedzianych loków.

Brat wpatrywał się we mnie ze zdumieniem, jakbym przemówiła do niego w języku suahili. A mnie przeniknął zimny dreszcz, bo poczułam, że mam rację. Bandyty nie tylko pozbawili Blanchefleur ubrań, ale także ścięli jej włosy, licząc na podwojenie zysków.

– Kupujesz czasem peruki – wyjaśniłam Sherlockowi. – Wiesz, jak zawrotne są ich ceny. Aż boję się przyznać, ile wydałam na egzemplarz, który widzisz na mojej głowie. Domyślam się, że włosy pozyskuje się od bawarskich chłopek, od więźniarek, które rzadko miewają piękne i długie sploty, albo od kobiet w potrzebie, gotowych sprzedać swoją największą ozdobę.

– Krótko mówiąc – przerwał mi Sherlock – piękne włosy na peruki...

– Oraz treski i tym podobne – dodałam.

– ...to rzadki i pożądaný surowiec.

– Właśnie.

– Przypuszczam, że możesz mieć rację – przyznał niechętnie. – Załóżmy, że pani Culhane i jej wspólnicy uprowadzili księżną Blanchefleur, by pozbawić ją ubrań i włosów... A ten sklep jest w raczej podłej dzielnicy?

– Raczej bardzo podłej.

– A więc możliwe, że spotkało ją tam kolejne nieszczęście, udaremniając jej powrót do domu.

– Na to wygląda.

Zerwał się z fotela i zaczął chodzić po pokoju. Obudził się w nim człowiek czynu:

– Musimy natychmiast powiadomić policję.

– Mój plan polega na tym – powiedziałam stanowczo – by nasz Reginald spróbował ją odszukać, kierując się zapachem z jej chusteczki.

Słyszając swoje imię, pies natychmiast wstał i zastrzygł uszami.

– Zapewne zauważyłeś – ciągnęłam – że księżna pozostawiła na chusteczce ślady... swojej... mmm... wydzieliny z nosa.

– Ależ, moja droga, Reginald to owczarek, nie posokowiec.

Podczas tej wymiany zdań brązowe oczy psiska spoglądały to na mnie, to na brata.

– To prawda – przyznałam, i nagle przyszedł mi do głowy o wiele lepszy pomysł. – A pies, dzięki któremu odnalazłeś mieszkańca Wysp Salomona? Ten, którego pożyczyłeś od staruszka, który trzymał w domu żywe borsuki, gronostaje i inne dzikie zwierzęta?

Sherlock stanął jak wryty i przeszył mnie zdumionym spojrzeniem.

– Czyżbyś czytała te piekielnie egzaltowane wypociny Watsona na temat moich poczynąń?
– Oczywiście. Skoro uznajesz *Znak czterech* za piekielnie egzaltowany... Zdaje się, że ów pies wabił się Toby.

– Tak. I nadal tak się wabi. – Przez chwilę wpatrywał się we mnie z wysoka z osobliwym wyrazem twarzy. – Enolu, czy mówiłaś poważnie, wspominając, że myślisz o studiach uniwersyteckich?

– Ja... mam dobre podstawy, jeśli chodzi o klasyczną edukację. Ale marzę o tym, by zgłębić wyższą matematykę, poznać literaturę współczesną, studiować nauki przyrodnicze, chemię...

Sherlock uniósł ręce jak dyrygent zarządzający ciszę przed odegraniem symfonii.

– W tej chwili jedziemy po Toby'ego, a następnie udam się z tobą, dokąd tylko sobie zażyczysz, pod jednym wszakże warunkiem: będzie nam towarzyszył Mycroft.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nic nie mogłoby mnie bardziej zdziwić. Ani mniej ucieszyć. Poderwałam się z miejsca z przerażeniem.

– Mycroft? Ale po co?!

– Nie ma czasu na wyjaśnienia, Enolu. – Sherlock sięgnął po cylinder, skórkowe rękawiczki i laskę. – Zgadzasz się na to?

– Nie mogę. Ma uprawnienia, żeby mnie zmusić...

– Daję ci słowo dżentelmena, że udaremnię wszelkie próby odebrania ci wolności czy stosowania przymusu.

– I nie pozwolisz mu mnie tknąć?

– Przyrzekam ci to.

Sherlock nigdy nie łamał danego słowa. Wiedziałam także, że zawsze mogę dać drapaką, a Mycroft nie zdoła mnie dogonić. A jednak...

– Mam dziwne przeczucie – wyznałam szczerze – że szykujesz jakiś podstęp.

– W rzeczy samej. – Kąciki ust uniosły mu się w łobuzerskim uśmiechu, nielicującym z jego dystygowanym wyrazem twarzy. – A jego ofiarą padnie Mycroft.

– Aha! – Słowa brata rozwiały moje wątpliwości, a ciekawość wzięła górę nad ostrożnością. – Doskonale! – Pogłaskałam kudłaty łeb Reginalda na pożegnanie. – Nie traćmy zatem czasu.

Toby okazał się – zgodnie z opisem Watsona – trochę spanielem, ale najbardziej kundlem. Oprócz jedwabistej łąciatej sierści trudno było się w nim doszukać oznak urody. Zostawiliśmy go w dorożce (Sherlock zażyczył sobie czterokołowego pojazdu, a życzenie Sherlocka było święte), a sami udaliśmy się do klubu po Mycrofta. Zapadał już zmierzch, więc wiadomo było, gdzie go znaleźć. Jego codzienne kursowanie między biurem, klubem a mieszkaniem było niezmiennie jak wschody i zachody słońca.

Kobiety, nawet tak zniewalające jak Viola Everseau w bladożółtej sukni, nie miały wstępu do pomieszczeń klubu, więc zatrzymałam się w holu. Sherlock dotrzymał mi towarzystwa, poleciwszy służącemu, by przyprowadził Mycrofta. Wiedzieliśmy, że nie będzie to łatwe. Minęło kilka minut, zanim pojawił się budzący grozę starszy z braci Holmes.

Sherlock tymczasem wyciągnął z kieszonki koszuli moją wizytówkę i wręczył mi ją, mówiąc:

– Proszę się wczuć w rolę, panno Violu Everseau.

Oho! Chciał sprawdzić, ile minie czasu, zanim Mycroft mnie rozpozna. Przytrzymując oburącz torbę podróżną, pochyliłam głowę i przybrałam słodką minę.

Ale Mycroft, kiedy wreszcie się zjawił, olśniewając białą fularu, ogromem szafirowej kamizelki i czernią fraka, nie raczył nawet zaszczycić mnie spojrzeniem.

– Sherlocku – zawarczał wściekle – wiesz, że nie znoszę, kiedy mi się przeszkadza w...

– Zapewniam cię, że było to konieczne, drogi braciszku – przerwał mu Sherlock słodkim tonem, który rozlał się jak lukier na gorącej bułeczce, studząc wybuch gniewu. – Mycrofcie Holmesie, pragnę ci przedstawić pannę Violę Everseau.

Mycroft odwrócił się w moją stronę i pochylił głowę w bardzo zdawkowym ukłonie.

Wręczyłam mu wizytówkę.

– Szalenie miło mi poznać – oznajmił starszy z moich braci głosem świadczącym, że nie jest mu wcale miło.

– Pani Everseau zwróciła się do mnie z prośbą o pomoc – wyjaśnił Sherlock. – Jednak będzie nam potrzebny drugi mężczyzna w pełni sił, a ponieważ Watson jest zajęty, zwracam się do ciebie.

– W pełni sił?! – ryknął Mycroft, jakby usłyszał najgorszą z obelg.

– Tak bardzo pana proszę, panie Holmes – zaszczebiotałam melodyjnie. – Chyba nie odmówi pan damie w potrzebie?

Otworzył usta, ale nic nie odpowiedział. Wyglądał jak człowiek, który rozgryzł właśnie coś wyjątkowo wstrętnego w smaku.

– Nie bądź taki, drogi Mycrofcie – zganił go Sherlock. – Zajmie nam to raptem parę godzin.

Dorożka już czeka.

Na te słowa bystry służący podał Mycroftowi jego obszerny płaszcz i pomógł mu się w niego ubrać. (Należałoby tu wyjaśnić, że wymogi dotyczące ubioru są bez względu na porę roku niezmiennie. Nawet w największe letnie upały szanujący się dżentelmen w stroju wieczorowym nie wyszedłby na ulicę bez płaszcza, podobnie jak żadna ze szlacheńnie urodzonych pań nie pokaże się publicznie bez nakrycia głowy i rękawiczek). Sherlock zgarnął kapelusz i inne nieodzowne drobiazgi brata, po czym pokierował Mycrofta na zewnątrz, popychając go lekko w stronę drzwi. Wymknęłam się w ślad za nimi.

– Dokąd, panno Everseau? – spytał, kiedy podeszliśmy do dorożki.

– Kipple Street, na wysokości Saint Tookings Lane – wymruczałam cicho, jakbym sama nie potrafiła podać dorożkarzowi adresu.

Sherlock mnie wyręczył.

– East End? I to z psem? – zabiadolił Mycroft, sadowiac się w powozie możliwie jak najdalej od Toby'ego.

Sherlock tymczasem podał mi rękę i pomógł wejść na schodek z taką atencją, jakbym była kruchą lalczką z porcelany. Udając zdegustowaną obecnością zwierzęcia, zajęłam miejsce obok Mycrofta. Z pewnością owionęła go chmurka moich kosztownych perfum, łączących w sobie aromaty lilii i lawendy. Sherlock usiadł naprzeciwko. Gładził w milczeniu głowę psa. Dorożka ruszyła, turkocąc głośno po bruku.

Cisza przeciągnęła się aż do chwili, w której ciekawość (może także trochę za sprawą bijącej ode mnie zniewalającej woni) wzięła górę nad urazą i Mycroft odwrócił swoją pełną twarz w moją stronę.

– Czy można wiedzieć, jakiej natury jest pani zmartwienie, panno... eee...

Pochyliłam głowę z uśmiechem.

– Everseau – podpowiedział mu Sherlock z naprzeciwka. – Panna Viola Everseau, jej rodzice byli dobrymi znajomymi naszej mamy.

– A właśnie! – Mycroft pochylił swój imponujący tors w stronę brata. – Czy odezwała się do ciebie Enola w sprawie wiadomości, o której mi mówiłeś?

– Jeszcze nie.

– Do diaska, Sherlocku, że też nie zasięgnąłeś mojej rady, zanim powierzyłeś tak istotny dokument tej chudej jak strach na wróble, rozbisurmanionej dzikusce...

Sherlock zerknął na mnie z błyskiem w oku.

A Mycroft utyskiwał dalej:

– ...naszej nieokrzęsanej siostrzyczce, rozbrykanej jak mały terier, nieprzyuczony jeszcze do porządku...

Tego już za wiele.

– Zaraz, zaraz! – przerwałam mu, odzywając się swoim normalnym i niestety bardzo rozpoznawalnym głosem. – Z całą pewnością jest już częściowo przyuczona do porządku. I nie uważam, by była bardziej rozbisurmaniona, nieokrzęsana czy dzika niż inni członkowie jej rodziny...

Mycroft momentalnie skurczył się w sobie, jak miech, z którego uszło całe powietrze, i wbił we mnie wzrok.

– ...jak choćby teraz, kiedy wywlekają drażliwe rodzinne sekrety w obecności nieznajomej – dokończyłam spokojnie, świadoma tego, że mam na sobie przeuroczy kapelusz, śliczne kolczyki z pereł i idealnie nakrochmalony, marszczony w niezliczone fałdki kołnierzyk. Obdarzyłam brata powściągliwym uśmieszkiem, a potem przestałam odgrywać damę i wyszczerzyłam triumfująco zęby.

– Enola? – sapnął Mycroft.

– We własnej osobie, kochany braciszku.

– Enola! Ale... a niech mnie! Co... jak... gdzie, do wszystkich...

Przerwał, bo nasz pojazd się zatrzymał, a znudzony głos woźnicy oznajmił:

– Kipple Street.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wyskoczyłam z powozu i otworzyłam torbę. Sherlock uregulował należność i dorożka odjechała. Natomiast Mycroft stał jak skamieniały, kiedy powierzyłam mu na chwilę latarnię i zapalki. Sądząc, że będę miała do pomocy tylko jednego z braci, spakowałam dwie przenośne lampy, jedną z myślą o sobie. Sherlock natomiast zabrał najcięższą ze swoich lasek, która z powodzeniem mogłaby posłużyć do obrony własnej. Ponieważ to on prowadził Toby'ego na smyczy, wręczyłam mu chusteczkę księżnej del Campo. Mój słomkowy kapelusz, rękawiczki i kosztowna peruka zniknęły w czeluściach torby. Wyciągnęłam z niej lekki, długi czarny płaszcz, który szczelnie zakrył moją jasną suknię. Przeistoczywszy się ponownie w bure stworzenie o myszowatych włosach związanych na czubku głowy w nieco zwichrowany już koczek, odwróciłam się z uśmiechem do starszego z braci.

– Czy teraz bardziej przypominam ci twoją buntowniczą siostrę? – Po tych słowach ostentacyjnie odkleiłam ze skroni pieprzyk, który również wylądował w przepastnej torbie.

Mycroft trwał w milczeniu. Takim go jeszcze nie widziałam.

– No to jak, Enolu? Od czego zaczniemy? – spytał Sherlock.

– Pójdziemy brzegiem Tamizy. – Z torbą w jednej ręce i latarnią w drugiej ruszyłam, wskazując braciom drogę. – Przypuszczalnie – wyjaśniłam – wyprowadzili ją z tunelu metra przez któryś z dawnych kanałów ściekowych.

– Ją? – odzyskał głos Mycroft. – Kogo masz na...

– Księżnę Blanchefleur del Campo – oświecił go Sherlock. – Enolu, czyżbyś uważała, że porywacze, odarłszy ją ze wszystkiego, co najcenniejsze, odprowadzili ją z powrotem na nabrzeże?

– Nie wiem. Ale przecież nie mogą jej przetrzymywać w sklepie, prawda?

– Raczej nie. – W jego głosie zabrzmiał jakiś dziwny ton. Zupełnie jakby nie traktował naszej misji z należytą powagą i postanowił świetnie się bawić.

Jeśli chodzi o mnie, to chociaż śmieszyło mnie skonfundowanie Mycrofta, z całą determinacją postanowiłam odnaleźć księżnę.

Stąpając lekko, w ciszy i skupieniu, wiodłam naszą trójkę w dół, pokonując pajęczą sieć uliczek prowadzących nad brzeg rzeki. Prawdę powiedziawszy, budzące piękne skojarzenia słowo „rzeka” nie pasowało zbyt do tego odcinka Tamizy i należałoby go raczej nazwać cuchnącym, wypełnionym brązową breją ściekiem, zmieniającym poziom w rytm przyływów i odpływów morza. W jego mułowatych odmętach spływały do ujścia potopione szczury i zdechłe koty. Czasem trafiały się wśród nich rozkładające się ludzkie zwłoki. Po obu stronach leniwie płynącej wody swoją przystań znalazły najniższe ze zdegenerowanych form ludzkości.

Kiedy pokonywałam ostatni stromy, mroczny i cuchnący smołą przesmyk między ruderami, opadły mnie nagle wątpliwości. Ożyło wspomnienie przerażających wydarzeń. Ale przed nami majaczyły już czarne sylwetki żaglowców o wysokich masztach, widoczne na niewiele jaśniejszym tle zachmurzonego nocnego nieba. Wyszliśmy z zaułka i zbiliśmy się w gromadkę na rozklekotanym, chybotliwym pomoście.

Przez chwilę trwaliliśmy w milczeniu, wypatrując w świetle latarni czyhających na nas niebezpieczeństw.

– Już tu kiedyś byłam – wyszeptałam.

– Kiedy? – spytał Sherlock stłumionym głosem.

– Mojej pierwszej nocy spędzonej w Londynie. – Jeszcze nie dokończyłam, a już wróciły do mnie obrazy wielogodzinnej niewoli wewnątrz łodzi, do której zawleczono mnie i małego lorda Tewksbury. Przypomniałam sobie pętające mi ręce i nogi liny, otarte do krwi przeguby rąk, które starałam się oswobodzić z więzów, pocierając je o jedną z brykli mojego przeciętego nożem gorsetu... przypominałam sobie naszą walkę o wolność i niekończący się bieg przez mroki nocy, spowolniony przez obolałe bosa stopy biednego Tewky'ego...

– O czym ty znów gadasz? – mruknął opryskliwie Mycroft.

– O tym, że omal nie zginęłam tu z rąk nożowników.

– Bardzo podniosłaś mnie na duchu.

– Tędy – zakomenderowałam szeptem. Skręciłam w prawo, chcąc uciec przed wspomnieniami.

Wzdłuż brzegu majaczyły ciemne kształty magazynów, widoczne za sprawą oświetlonych rzęsiście narożnych tawern. Tuż przy rzece biegła śliska i nierówna dróżka. Złowrogie, odludne miejsce. W sam raz, by porzucić tu nieszczęsną, okradzioną księżnę.

– Sprawdźmy, czy Toby złapie trop. Daj mu do powąchania chusteczkę.

Jedną z najbardziej podziwianych przeze mnie cech Sherlocka było to, jak traktował psy i konie. Teraz zatrzymał kundla, przykucnął przy nim i zaczął go głaskać, przemawiając do niego tonem łagodnej zachęty, po czym wyciągnął z kieszeni kwadrat delikatnego płótna obszytego koronką. Podsunął psu pod nos sam środek chustki. Toby dokładnie obwąchał materiał. Sherlock wstał i przywiązał mu do smyczy znacznie dłuższą linkę, by zwierzak miał większą swobodę ruchu. Dziwnym, rozkołysanym jak u kaczkę krokiem pies pobiegł w ciemność, znikając nam z oczu.

– Dobrze, że nie prowadzi nas ku tobie, Enolu – zauważył Sherlock, kiedy podążyliśmy za napiętą smyczą. – Na chusteczce zostawiłaś także i swój zapach.

– Wiem. Podobnie jak ty. No i stara Culhane’owa.

– Niech to lichy porwie, Enolu. Nie wiem czemu, ale w twojej obecności zatracam zdolność jasnego myślenia... Trzeba było wpaść do domu księcia i poprosić o jakiś drobiazg, którego nikt poza jego żoną nie dotykał.

– I co? Myślisz, że przynieśliby ci jej brudne pantaloony?

– Enolu! – wrzasnął Mycroft zgorzsony tym, że nazwałam po imieniu tak nieprzyzwoitą część garderoby.

Nie zareagowałam na jego wzburzenie i dalej drażyłam temat:

– A czym uzasadniłbyś prośbę o tak osobisty przedmiot, Sherlocku?

– No tak, wyjaśnienia mogłyby niepotrzebnie wzbudzić nadzieję i sprowokować zbyt wiele pytań – stwierdził z westchnieniem. – Masz rację, Enolu. A jednak bardzo bym się zdziwił, gdyby Toby rzeczywiście prowadził nas teraz do sklepiku Culhane’owej.

– Liczenie na to, że pies zrobi cokolwiek, co zbliży nas do rozwiązania zagadki, przypomina nieco wiarę w cuda – przyznałam. – Jednak warto spróbować.

– A ja? – odezwał się za naszymi plecami zręczliwy jęk. – Czy można spytać, po jakie lichy mnie tu ze sobą ciągniesz, Sherlocku?

– Przyjdzie chwila, że wszystko się stanie się jasne, mój drogi bracie. Wszystko stanie się jasne.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Minęło kilka godzin, ale zapowiedziana przez brata chwila nie nadchodziła. Toby prowadził nas z typowym dla swojego gatunku radosnym zapałem przez zalegające na brzegu rzeki odpadki, obwąchując po drodze każde napotkane ujście rynsztoku, rzeczki czy kanału ściekowego, jednak niczego tam nie znaleźliśmy. Koniec końców pies przywiódł nas do punktu wyjścia, ciągnąc nas w stronę doku, z którym wiązały się moje dramatyczne wspomnienia. Mycroft sapał głośno – nie nawykł bowiem do tak forsownego wysiłku fizycznego – co skutecznie uniemożliwiało mu marudzenie. Pies zmierzał w stronę tunelu, a raczej wyschniętego ujścia rzeczki, obok którego już raz przechodziliśmy...

Kundel zamarł nagle i oderwawszy nos od ziemi, uniósł wysoko łeb i węszył.

Poza tym nie działo się nic, co mogłoby uzasadnić moją nagłą panikę. Pamiętajmy wszakże, że częsty kontakt z ciemnymi ulicami miasta wyrabia w człowieku czujność.

– Do tunelu! – szepnęłam z przejęciem i chwyciwszy każdego z braci za łokieć, pchnęłam ich we właściwym kierunku. – Zgaście latarnie! – O psa nie musiałam się martwić, ponieważ wyczułam w ciemnościach, jak przywarł mi do nóg, prężąc kosmate ciało w oczekiwaniu.

Braci nie musiałam prosić o zachowanie ciszy, ale dla pewności kucnęłam i zasłoniłam dłonią pysk Toby'ego.

Od strony doków słychać było wyraźne szuranie kroków.

I głosy.

Ktoś się do nas zbliżał.

Po chwili zorientowałam się, że rozmawiają ze sobą dwie osoby. Jedna skrzeczała głośno i piskliwie, druga odpowiadała znacznie niższym i gardłowym głosem, z typową dla podeszłego wieku flegmą. A jednak... Czyżby była to kobieta? I dlaczego od razu założyłam, że piejący dyszkant należy do męczyzny? Miałam wrażenie, że oba głosy brzmią znajomo, ale nie potrafiłam ich z nikim skojarzyć.

Tym bardziej że mój umysł sparaliżował nagle śmiertelny strach, kiedy grubszy z głosów wypowiedział gniewnie kilka wyjątkowo paskudnych słów.

– ...i zaczyna mnie już wnerwiać.

– Ty ją pewnie też – odparł skrzeczący głos.

– Więc czemu, do pioruna, się stamtąd nie zabiera? (Parafrazuję to, co usłyszałam, używając eufemizmu „piorun”, by nie urazić wrażliwości łaskawego czytelnika). – Kiedy tylko wyjdę na tył domu, widzę, jak leży w gnoju niczym zdechła ryba, która...

– No bo samaś ją tam zostawiła, nie? – wpadł jej w słowo Skrzekacz.

Skrzekacz!

Sama z trudem powstrzymałam skrzekliwy pisk, bo oto nagle rozpoznałam szczerowaty głosik jednego z rzezimieszków, którzy rok temu tak ochoczo pragnęli mnie uśmiercić.

– A niby co to ma do rzeczy, ty jakiś...

Moje wspomnienia przerwała litania nienadających się dla panieńskich uszu przekleństw. Kto mógłby podejrzewać, że kobieta potrafi się posługiwać tak plugawym językiem? Chyba nawet sama...

W tym momencie szemrana para, wyszedłszy zza zakola rzeki, ukazała się naszym oczom. Wyższa osoba, krępa i niezgrabna jak żółw, niosła w ręku latarnię.

Chyba nawet sama pani Culhane...

Z całą pewnością widziałam kroczącą w naszą stronę złowieszczą Culhane'ową, ze Skrzekaczem u boku.

– To ona – syknęłam do ucha Sherlockowi, modląc się cicho, by zrozumiał moje słowa, bo za nic nie odważyłabym się już nic więcej powiedzieć. Zadrżałam i cofnęłam się głębiej w cień.

Chwała Bogu, że Mycroft zapanował nad swoją zadyszka. I on, i Sherlock zamarli w ciszy. Para złoczyńców była coraz bliżej.

– ...i cała okolica już o niej gada. Niech mnie szlag, jak policja się o tym dowie – podsumowała swój stek wyzwisk pani Culhane. Proszę, by łaskawy czytelnik wziął poprawkę na to, że znów uciekam się do eufemizmów. – Przeklętница położyła się na widoku jak kupka nieszczęścia, zamiast polecieć w te

pędy do ciepłego domku.

Kiedy to mówiła, oboje mijali właśnie zagłębienie, w którym się ukryliśmy. Pomyślałam o schowanym za dekoltem sztylcie, szykując się w duchu na to, by jak najszybciej po niego sięgnąć, gdyby padło na nas światło ich latarni.

– No to co mam z babą zrobić? – pisał Skrzekacz.

– Jak to co? Masz z nią zrobić porządek!

– To znaczy co? Przenieść gdzie indziej czy zaciukać?

Zaciukać, czyli zabić. Jego obojętna gotowość sprawiła, że zjeżyły mi się włoski na karku. Na szczęście jego słowa rozsierdziły panią Culhane, która wbiła w niego wściekły wzrok, a co za tym idzie, nie zauważyła naszej obecności.

– Zrób, co ci się żywnie podoba – odpowiedziała. – Mam to gdzieś. I nie chcę znać szczegółów. Po prostu zrób z nią porządek.

– Za nimi – szepnęłam, gdy zbrodnicza para oddaliła się już na bezpieczną odległość od naszej kryjówki.

Okazało się, że niepotrzebnie, bo Sherlock zdążył już ruszyć ich śladem. Zawsze – teraz też – nosił buty z najmniejszej skóry i potrafił się przemieszczać bezszelestnie jak kot, nie miałam więc obaw, że dranie go usłyszą. Bałam się natomiast, że sama ściągnę ich uwagę, ponieważ w sytuacjach zagrożenia ujawnia się w pełni moje wrodzone gapiostwo. Zaczekałam zatem, aż Sherlock znajdzie się nieco dalej, po czym odstawiłam na ziemię latarnię, która mogłaby mnie zdradzić brzękiem, i ruszyłam za bratem, ściskając w dłoni koniec psiej smyczy. Mycroft, idąc za moim przykładem (niesamowite!), wybrał podobną taktykę i przemieszczał się teraz w pewnej odległości za mną, stąpając niepewnie na palcach. Przyświecały nam teraz jedynie odbity od chmur poblask lamp gazowych dalekiego centrum miasta oraz mrugający w oddali płomycek latarni pani Culhane'owej.

I tak skradaliśmy się w milczeniu wzdłuż Tamizy, aż do chwili, gdy szemrana dwójka skręciła w górę, ku zabudowaniom. Po krótkiej wędrówce parka spod ciemnej gwiazdy doprowadziła nas do miejsca, z którego parę godzin wcześniej wyruszyliśmy, czyli na Kipple Street. Już na długo przedtem domyśliłam się, dokąd oboje zacierają. Doskonale pamiętałam zabudowania gospodarskie znajdujące się na tyłach ulicy, przy której mieścił się Skład Używanych Ubrań Pani Culhane'owej. Niemal równo rok wcześniej biegłam przez te zaułki, klucząc między krowią obórką, rozpadającą się stajenką osła, kozią zagródką, kurnikami i wybiegami dla gęsi, w rozpaczliwej próbie ucieczki przed Skrzekaczem i jego budzącym grozę kompanem Nożownikiem.

Dotarliśmy w końcu na Kipple Street tonącą w mroku rozpraszonym nierównomiernie przez tych kilka latarni gazowych, których nie rozbili wcześniej wandy. Sherlock od razu przeszedł na chodnik, by skryć się w cieniu przy narożnej kamienicy, i tam na mnie czekał.

I na Mycrofta, rzecz jasna. W całym tym pośpiechu i przerażeniu zapomniałam o moim drugim, korpulentnym i ociężałym bracie. Zerkając zza węgła, patrzyłam jak Skrzekacz i pani Culhane – istna karykatura wracającej z wieczornej przechadzki pary – skręcają w Saint Tookings Lane.

– Wiem, jak odciąć im drogę! Chodź! – rzuciłam Sherlockowi i pognałam z psem u boku przez Kipple Street w stronę zaułka prowadzącego na tyły domów.

Po chwili rozległ się za mną pełen wyrzutu głos należący – jak się domyślałam – do Mycrofta:

– Ohyda! Czy to dziewczynisko postradało zmysły?

Tego typu uliczki mają bowiem tę niemiłą cechę, że zalegają w nich hałdy nieczystości pozostawionych przez wzmiankowane wyżej zwierzęta (oraz wiele innych). Perspektywa poślizgnięcia się i upadku nie była zbyt kusząca. Staralam się więc za wszelką cenę uniknąć błędu, biegnąc po omacku przez smrodliwe ciemności. Można by je nazwać egipskimi, gdyby nie poświata ze stojącej przy Saint Tookings Lane latarni gazowej.

„Pani Culhane...”

Nie dokończyłam myśli. Miałam właśnie skonstatować, że zapewne wolała nadłożyć ze swym kompanem drogi, niż przedzierać się po omacku przez brudne podwórza, gdy z zaskoczenia wciągnęłam głośno powietrze.

W nikłym świetle zamajaczył jaśniejszy kształt. Coś... Nie! Ktoś – rozpoznałam ludzkie kształty

– leżał na ziemi wśród nieczystości.

Bez znaku życia.

Nieruchomy, blady, obły kształt, jak trup w całunie.

Wielki Boże... A jeśli to Blanchefleur, „delikatny kwiat na kruchej kanwie kobiecości”? Czy jeszcze żyje?

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nie potrafiłam tego stwierdzić!

Ani wówczas, ani chwilę później, kiedy pani Culhane i jej krwiożerczy kamrat pojawili się w zaułku i stanęli nad ciałem. Mimo że w świetle ich latarni widać było je wyraźnie, nie zauważyłam, by przejawiało jakieś odruchy życia.

Biegłam w tamtą stronę, ciesząc się, że odrażająca breja tłumi odgłos moich kroków. Wstrzymałam oddech, by usłyszeć ich słowa, ale nic to nie dało. Dzieliła nas jeszcze zbyt duża odległość. Zobaczyłam jednak, że Culhane'owa odstawia latarnię i oddala się swoim kolebiącym się krokiem.

Zbliżając się, dostrzegłam także, iż spoczywające na zapaskudżonym klepisku wybrudzone niemilosiernie ciało – czy żywe, czy martwe – należy do wyjątkowo szczupłej kobiety. I że jest prawie nagie, nie licząc jednej długiej koszuli.

Następnie zauważyłam, że sponiewierana nieszczęśnica drgnęła, jakby próbowała unieść głowę. Żyje!

Chwilę później ujrzałam, jak Skrzekacz podnosi nóż, by zadać jej śmiertelny cios.

– Nie! – wrzasnęłam przeraźliwie. Wypuściłam smycz, żeby mieć wolne obie ręce, i przyspieszyłam krok do sprintu. – Ani się waż! – Byłam już prawie przy nim, ale nadal zbyt daleko, by go unieruchomić. – Mordują! Policja! – darłam się.

Zaskoczony opryszek wyprostował plecy, szukając wzrokiem źródła rabanu. Z braku lepszego oręża rzuciłam w niego swoją torbę, celując w głowę.

Oczywiście zdążył się uchylić i uniknął uderzenia, jednak zyskałam na czasie, by do niego dobiec i stanąć z nim twarzą w twarz, wyszarpnąwszy z gorsetu swój sztylet.

Wykrzywił usta, odsłaniając zęby w psim grymasie wściekłości. Oboje patrzyliśmy sobie w oczy, unosząc ostrza. Przyczajeni dreptaliśmy po niewielkim okręgu w gotowości do walki. Łajdak z miejsca mnie rozpoznał.

– Znowu ty? No to teraz już po tobie – zapowiedział złowrogo.

– Błagam – jęknął z dołu cichy głos. – Proszę mi pomóc.

Na chwilę straciłam czujność i omal nie skończyło się to dla mnie „zaciukaniem”. Kiedy zerknęłam kątem oka na mówiącą, Skrzekacz postanowił przypuścić atak.

Zareagowałam zbyt późno. Nóż bandziora zbliżał się w zawrotnym tempie do mojej odsłoniętej szyi. Wówczas jednak w moim polu widzenia pojawiła się gruba laska, a jej cios wytrącił nóż z dłoni rzezimieszka. Skrzekacz zawył z bólu. Kilka sekund później Sherlock wykręcił mu do tyłu obie ręce, skutecznie go unieszkodliwiając.

Otworzyłam usta, chcąc mu podziękować, ale nie zdążyłam tego zrobić, ponieważ w tej samej chwili jakieś zwaliste cielsko w groteskowym kapeluszu wskoczyło Sherlockowi na plecy. Stara Culhane'owa postanowiła poratować współnika zbrodni. Sherlock zachwiał się pod jej ciężarem i o mały włos nie wylądował na ziemi. Niestety, wypuścił z rąk złoczyńcę, który z miejsca wykorzystał okazję, by wziąć nogi za pas. Próbowałam odciągnąć rozjuszoną staruchę od brata, jednak baba zamachnęła się na mnie z taką siłą, że upadłam w błocko. Jednocześnie do akcji wkroczyła druga, równie potężna, postać. Mycroft chwycił Culhane'ową za wolną rękę i szarpnął. Babsko aż zaryło swym ogromnym zadem w zalegającej wokół brei.

Znów nie dane mi było nacieszyć się klęską wroga. Darowałam sobie tę przyjemność, bo całą moją uwagę pochłonęła dobiegająca z dołu cicha skarga. Przyklęłam obok leżącej bezwładnie młodej kobiety i ujęłam jej powalaną błotem rękę.

– Wasza książęca mość?

Nieszczęsna *duquesa* podniosła na mnie oczy i kiwnęła głową. Rzeczywiście, nawet pod warstwami brudu jej drobna twarzyczka olśniewała delikatną jak kwiat urodą, mimo że pozbawiono ją przepysznej oprawy bujnych włosów. Jej głowę pokrywała mierzwa krótko przystrzyżonych i posklejanych błotem kędziorków. Miałam przed sobą księżnę Blancheffleur.

– Proszę mi pomóc – wyszeptęła.

– Właśnie po to tu przybyliśmy – odpowiedziałam. – Ale... czyżby była pani ranna?

Pokręciła przecząco głową.

Toby, kundel o niebywałym węchu (jak go opisano w *Znaku czterech*) podszedł do leżącej i zaczął ją trącać nosem, nie zdradzając oznak rozpoznania.

– Jest pani osłabiona? – indagowałam dalej. – Wycieńczona głodem?

– Nie, skądże! – zawołała z przejęciem, otwierając szeroko śliczne oczy. – Tutejsi żebracy dzielili się ze mną chlebem. Najbiedniejsi spośród odzianych w łachmany nędzarzy ulitowali się nade mną.

Mimo tych zapewnień uznałam, że lepiej będzie sięgnąć po jeden z moich niezawodnych karmelków wzmacniających, których zapasik zawsze miałam na podorędziu. Wsunęłam jej cukierek w usta.

Z drugiej strony przykucnęli przy księżnej Sherlock z Mycroftem. Jedynie pani Culhane'owa zniknęła mi z pola widzenia. Najwyraźniej uznała, że najrozsądniej będzie się ulotnić.

– Ale, rzecz jasna, marzę o powrocie do domu – oświadczyła z prostotą księżna Blancheffleur. Widać nie miała w zwyczaju uważać się nad sobą. – Czy możecie mnie tam zawieźć?

– Właśnie po to tu się zjawiliśmy – zapewnił ją tym razem Sherlock. – Może księżna pani zechce usiąść?

– Niestety, nie mogę ani siedzieć, ani stać o własnych siłach. – Wypowiedziawszy te słowa, zamilkła nagle, jakby zdjął ją wstyd, a zjawisko siadania i wstawania o własnych siłach było czymś gorszym. – Chyba że ktoś zechciałby mi przynieść...

Głos jej się załamał. Była zażenowana. Odwróciła głowę od moich braci i wlepiła we mnie błagalny wzrok.

– Co? – spytał Mycroft łagodniejszym niż zazwyczaj tonem. – Co, u licha, może być waszej książęcej mości potrzebne?

Nie chcąc odpowiedzieć mu wprost, wyszeptala cichutko, patrząc na mnie:

– Próbowалаm pełznąć... ale nawet to jest ponad moje siły. Z powodu talii...

Przypomniał mi się szatański gorset wiszący w składzie ze starzyzną.

I słowa dam dworu. Przecież księżnę sznurowano w takie diabelskie wynalazki od dziecka.

Przyjrzałam się leżącej. Rzeczywiście, miała kibić godną sześciolatniej dziewczynki. Pierwszy raz przekonałam się naocznie, jak wyglądają deformacje, o których mama czytała mi na głos z prasy nawołującej do reformy damskich strojów.

– Na haluksy bogów! – wybuchłam zdjeta nagłym gniewem, choć jego adresatem nie była leżąca przy mnie na ziemi nieszczęsna ofiara mody. Spojrzałam ponad jej zmaltretowanym półnagim ciałem na braci. – Jestem pewna, że ukończyła najlepszą z pensji dla panien, Mycrofcie!

– Ależ co ty...

– Jej biedna kibić... ściśnięta tak, że doszło do... – Że też akurat teraz wyleciał mi z pamięci termin „atrofia”! To mnie jeszcze bardziej rozzłościło. – Pozbawiono ją swobody harmonijnego rozwoju w imię idiotycznych wymogów mody i efekt jest taki, że kiedy nie jest zasnurowana w to narzędzie tortur z piekła rodem, nie jest w stanie siedzieć, stać ani chodzić!

Księżna Blancheffleur zaczęła cicho, acz dystygowanie popłakiwać.

Jeszcze nigdy nie widziałam Mycrofta z tak pełną niedowierzania miną, jednak Sherlock, który wysłuchał niedawno kazania z ust Florence Nightingale, od razu mnie zrozumiał.

– Cicho, Enolu. Nie musisz nam więcej tłumaczyć. Czy mogłabyś nam użyczyć swego okrycia?

Przygryzłam wargę, żeby zapanować nad wściekłością, po czym podniosłam się, zdjęłam ociekający błotem płaszcz i wręczyłam go bratu.

– A teraz, wasza książęca mość, zabierzemy panią w bezpieczne miejsce. Mycrofcie, bądź łaskaw chwycić księżnę panią pod ramiona. Teraz zapewne rozumiesz, dlaczego potrzebowałam pomocy drugiego krzepkiego mężczyzny.

Koniec końców, kiedy już zawiązał rozneglizowaną księżnę w mój płaszcz, okazało się, że sam doskonale sobie poradzi z niesieniem tak kruchej i lekkiej istoty. Spojrzał na zachód, w stronę Westminster City. Jednak już parę godzin wcześniej, kiedy tu przybyliśmy po raz pierwszy, nie spotkaliśmy po drodze żadnych dorożek. Na domiar złego była już chyba czwarta w nocy. Sherlock odwrócił się w stronę brata i oznajmił, jakby był graczem w jakiejś chłopięcej zabawie:

– Twoja kolej. Trzymaj. – I przekazał Blanchefleur Mycroftowi.

Ten stanął na wysokości zadania, zamykając wąż damę w delikatnym, acz silnym i pewnym uścisku.

Zaczęliśmy iść, wypatrując wolnego fiakra czy woźnicy bez zajęcia. Było lato, więc nawet w środku nocy na ulicach East Endu kwitło życie, jednak snujący się tam pijaczkowie, zapóźnieni przechodnie, drobne złodziejaszki i piękności nocy chowali się na nasz widok po kątach. Dwóch nienagannie ubranych dżentelmenów niosących na zmianę niedające oznak życia ciało oraz drepcząca obok nich tyczkowata dziewczyna w poplamionej jasnożółtej sukni, z ubranymi po łokcie rękoma i rozczochraną głową, dźwigająca torbę podróżną i prowadząca na smyczy nierasowego spaniela? Dziwne.

Mycroft i Sherlock w regularnych odstępach czasu przekazywali sobie księżnę Blanchefleur. I tak pokonywaliśmy milę za milą.

W trakcie tej wyczerpującej i długiej wędrówki obaj bracia zachowywali niemal całkowite milczenie. Idący jak zwykle przodem Sherlock najwyraźniej zapomniał o moim istnieniu, jednak kroczący ramię w ramię ze mną Mycroft posyłał mi co chwilę ukradkowe spojrzenia.

W końcu zdecydował się odezwać.

– Enolu... wcześniej tego wieczoru Sherlock zapowiedział, że wszystko stanie się niebawem jasne. Czyżby chodziło mu o ciebie?

Z ręką na sercu przyznam, że nie miałam pojęcia, czemu Sherlock uparł się, byśmy zabrali z sobą Mycrofta. Nie potrafiłam więc udzielić zadowalającej odpowiedzi starszemu z braci. Ale ponieważ najwyraźniej oczekiwał ode mnie wyjaśnień, ogarnięta nagłą wesołością parsknęłam śmiechem:

– Dobrze sobie! – zawołałam. – Chyba widzisz, że moja twarz i ubiór wcale nie pojaśniały, raczej wręcz przeciwnie.

Sherlock zachichotał, a Mycroft spojrzał na mnie tak strapionym wzrokiem, że ku własnemu zdumieniu poczułam, że chyba go jednak lubię.

– To prawda – powiedział. – Rok temu przedstawiono mi pewną rozpuszczoną i zaniedbaną chudą pannicę. Taka mi się przynajmniej wydała. Ale dziś stało się dla mnie jasne, że wyrosłaś na niezwykle młodą kobietę mimo swoich czternastu lat.

– Piętnastu – poprawiłam go. – Za parę dni świętuję urodziny. – Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałam jakiegos szczególnego powodu do fetowania tej rocznicy.

Skołowany Mycroft jeszcze bardziej wybałuszył oczy.

– Naprawdę?

– Poważnie? – rzucił niemal równocześnie Sherlock. – Minał już cały rok?

– Od czasu, kiedy mama uciekła do cygańskiego taboru? Tak.

Przypomniało mi się, że cały czas noszę przy sobie ukrytą za gorsem wiadomość od mamy, i poczułam w sercu jakże dobrze mi znane uczucie żalu. Tym razem odezwało się ze zdwojoną mocą.

– Nadal nie mieści mi się w głowie, jak nasza matka... – zaczął Mycroft, który prawdopodobnie słyszał już od brata, jakie życie wybrała sobie mama.

Sherlock z miejsca go uciszył.

– Mycroftie, poprosiłem cię o udział w naszym nocnym wypadzie – powiedział cichym głosem – po to, żebyś mógł lepiej poznać Enolę, zobaczyć ją w działaniu i być może wyciągnąć ze swoich obserwacji konstruktywne wnioski. – Po tych słowach przystanął, odwrócił się do brata i wręczył mu wiotką, omdlałą z nadmiaru cierpień Blanchefleur. – Czy masz jakieś przemyślenia?

– To wyjątkowo mało odpowiednia chwila na tego typu rozmowy – jęknął Mycroft.

– W istocie – odpowiedział mu spokojnie Sherlock. Wszyscy troje zrównaliśmy krok i szliśmy ramię w ramię. – Ale zastanowisz się nad tym w dogodniejszej dla ciebie porze?

Mycroft zareagował na to pewnym bardzo niecenzuralnym, acz zrozumiałym w tych okolicznościach zwrotem, który wolę przemilczeć.

Szliśmy powoli dalej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Blask jutrenki rozjaśniał już niebo, na którym rysował się ciemną linią kontur najeżonych kominami dachów, kiedy naszym oczom ukazała się pompa na ulicy Aldgate (jeden z monstrualnej wielkości pomników wzniesionych w Londynie ku chwale higieny), wyznaczająca umowną granicę dzielącą brud i nędzę East Endu od ładu i porządku centralnych dzielnic miasta. Na znajdującym się nieopodal przystanku czekała już grupka dorożek z poziewującymi na kozłach woźnicami. Sherlock przywołał jeden z krytych czterokołowych powozów.

Delikatnie złożył milczącą dotąd księżną na wysciewanym siedzisku pojazdu, kobieta otworzyła oczy:

– Jest tak, jak zawsze myślałam – wyszeptła. – W głębi serca ludzie są naprawdę dobrzy. Dziękuję.

– A pani na tę dobroć naprawdę zasłużyła – zapewniłam, wsuwając jej między wargi kolejny cukierek.

Sherlock wolał nie wyprowadzać jej z błędu i ani słowem nie wspomniał o przejawach „dobroci” okazanych jej przez Culhane’ową i Skrzekacza. Zwrócił się natomiast do mnie:

– Enolu, czy wolno mi spytać, jakim cudem zaangażowałaś się w tę historię?

– Oczywiście, że ci wolno – odparłam i chociaż wszystkim nam dawało się już we znaki zmęczenie po pełnej wrażeń nocy, postarałam się o uśmiech. Miałam nadzieję, że na tyle ciepły, by dawał świadectwo moich prawdziwych uczuć do brata. – Ja natomiast odmawiam udzielenia odpowiedzi.

Wzniósł na chwilę oczy do nieba, ale momentalnie się zreflektował:

– Może ujmę to inaczej. Czy zawarłaś bliższą znajomość z mieszkańcami domu księcia del Campo?

– Znają mnie tam jako przejętą losem księżnej damę.

– Myślę zatem, że powinnaś oszczędzić domownikom dodatkowych nerwów i zawieźć tam księżną bez naszej asysty.

– Żeby odsunąć podejrzenia, że oglądały ją w tym stanie męskie oczy?

– Właśnie. Ale za momencik. – Wziął ode mnie smycz Toby’ego i powierzył ją na chwilę bratu, sam natomiast ruszył szybkim krokiem w stronę pompy, wyciągnął z kieszeni swoją chustkę do nosa (nieobszytą koronką, dużą, o męskich barwach) i umoczył ją w wodzie. Kiedy wrócił, zaczął wycierać mi twarz, jakbym była małym umorusanym dzieckiem.

Byłam tak zmęczona i tak zaskoczona, że przez kilka minut stałam bezwolna jak manekin ze sklepowej witryny, w końcu jednak otrząsnęłam się, odepchnęłam rękę brata i wyrwawszy mu chustkę, sama doprowadziłam się do porządku, usuwając z policzków i dłoni pozostałe ślady błota i nieczystości.

– Całkiem nieźle – stwierdził bez przekonania Sherlock, kiedy wciągnęłam na głowę perukę z przypiętym do niej kapeluszem, zasłaniając własne ubłocone i rozczochrane włosy. – Czy podać ci twój pieprzyk?

– Nie.

– W takim razie... do kolejnego spotkania.

– Oczywiście. Wiedz jednak, że kiedy uporam się z odstawieniem księżnej do domu, mam zamiar spać aż do jutra rana.

Wrzuciłam torbę do wnętrza dorożki i już stawiałam stopę na schodku, kiedy zatrzymał mnie głos milczącego dotąd Mycrofta.

– Czekaj!

Biedny Mycroft. Zupełnie zapomniałam o jego obecności. Skruszona odwróciłam się gwałtownie w jego stronę.

Cała jego pewność siebie i elokwencja wyparowały po trudach ostatniej nocy. Spytał szorstko, ale z rozczulającą, niemal dziecięcą prostotą:

– Kiedy cię znów zobaczymy?

Poczułam, jak niespodziewanie zalewa mnie fala czułości, więc natychmiast wzięłam się w karby. Przecież niczego mi nie obiecywał, toteż nie można mu ufać. Po krótkiej chwili

odpowiedziałam:

– Nie wiem. Będę w kontakcie. Przyrzekam.

– Racz zauważyć, że nie wezwałem konstabla, by cię siłą przy nas zatrzymać – odparował, odzyskawszy nagle sporo z dawnej zgryźliwości.

– Zapewniam cię, że zauważyłam – pospieszyłam z wyjaśnieniem.

– Skoro tak, to dlaczego nie możemy ustalić...

– Jestem naprawdę wycieńczona, Mycroftie, i nie potrafię zebrać teraz myśli. Boję się składać jakiegokolwiek obietnice.

W tej samej chwili odezwał się Sherlock, wykazując się zaskakującym u niego myślowym nieładem.

– Enolu... twoje urodziny!

Spojrzałam na niego z całkiem nieudawanym zdumieniem.

– Moje urodziny? A co to ma do rzeczy? – Żaden z braci nie zaprzętał sobie do tej pory głowy rocznicą mego przyjścia na świat.

Tym razem obaj stracili zdolność klarownego wyrażania myśli. Sherlock, jakby obawiając się dokończyć rozpoczęte poprzednio zdanie, powiedział:

– Powinniśmy być razem.

– Po co?

– Cała nasza trójka – dorzucił z wysiłkiem Mycroft.

Chyba nie po to, by świętować dzień będący jednocześnie rocznicą zniknięcia naszej matki.

– Jakoś nie wyobrażam sobie, że którykolwiek z was zamówi dla mnie tort i kupi prezenty.

Dlaczego...

Ale nie dokończyłam. Po części dlatego, że byłoby okrucieństwem zmuszać zmordowanych braci do dalszej rozmowy, a po części dlatego, że sama nie miałam już sił na mierzenie się z własnymi chaotycznymi odczuciami. A może także i dlatego – dziwne, byłam przecież córką logika – że pamiętałam, co mi przepowiedziała stara Cyganka: do końca życia będę samotna, chyba że się zdecyduje rzucić wyzwanie swemu fatum.

Razem. We troje.

Czy sama i bezpieczna?

Musiałam wybrać.

– Enolu? – zagadnął ponownie Mycroft.

Byłam zbyt zmęczona, żeby się nad tym zastanawiać, więc zaufałam odruchowi serca. Skinęłam potakująco głową.

– Baker Street? U Sherlocka?

– Baker Street, doskonale, w porze podwieczorku. Nie zapomnij przynieść *skytale*.

Klamka zapadła: spotkamy się ponownie. Nie tyle w dniu moich urodzin, ile w rocznicę zniknięcia mamy. I we troje spróbujemy złamać szyfr w celu ustalenia, co się z nią naprawdę stało.

Gorzka myśl. Powiedziałam jednak:

– Jesteśmy umówieni.

Pomachawszy im ręką, wsiadłam do dorożki, by zawieźć księżnę na Oakley Street, do domu jej męża.

Ułożyłam sobie jej biedną, wybrudzoną i ostrzyżoną głowę na kolanach, ujmując jednocześnie jej dłoń. W trakcie jazdy *duquesa* otworzyła kilkakrotnie oczy, ale tylko po to, by obdarzyć mnie anielskim uśmiechem i ponownie zamknąć powieki.

Zajechałyśmy pod neomauretańską rezydencję księcia o bardzo wczesnej jeszcze porze, minąwszy po drodze zaledwie kilka powozów i nielicznych przechodniów. A jednak zapukałam w budę, dając dorożkarzowi znak, by zlązł z kozła, a następnie poinstruowałam go, by wzorem wozów dostawczych przejechał na tył domu. W ten sposób unikniemy zbyt wielu ciekawskich oczu. Byłam przekonana, że *duque* Luis del Campo będzie wołał (podobnie jak ja, chociaż z zupełnie innych przyczyn), by szczegóły zniknięcia i powrotu księżnej Blancheffleur nie przeniknęły do prasy.

Woźnica wjechał na wewnętrzny dziedziniec. Z domu natychmiast wybiegła kucharka i zaczęła

go sztorcować. Kiedy jednak uchyliłam drzwiczki dorożki i ujrzała nas obie, wrzasnęła jak wystraszona perliczka.

– Zawołaj tu swojego pana – poleciłam jej – i obie panny Mary... – O nieba, nie mogłam sobie przypomnieć ich nazwisk. Kołatały mi się w głowie jedynie przydomki innych Marii: z Magdali, z Betanii, z Nazaretu, od Kwiatów... Pamięć nie okazała się zbyt usłużna. – Niech ktoś tu wezwie damy dworu księżnej Blanchefleur, i to mi giem. Tylko proszę nie robić hałasu – dodałam, ale na próżno, bo kucharka wbiegała już z powrotem do domu, lamentując jak zarzynane prosię.

Pierwszy zjawił się książę. Parę dni później stworzyłam wiele zabawnych portrecików tego szlachetnie urodzonego granda, uwieczniając chwilę, w której wybiegł na podjazd z kruczoczarnymi włosami w nieładzie, odziany w koszulę nocną, spod której widać było jego kościste nagie stopy. Jak na gorąco krwistego Hiszpana przystało nie tracił czasu na szukanie pantofli i szlafroka. Zaraz potem pokazały się panny Mary, jedna w szenili, druga we flaneli... Wciąż nie mogłam sobie przypomnieć nazwisk Hambleton i Thoroughcrumb, ani tego, która z nich nosi które, zresztą nie miało to większego znaczenia. Obie głośno zawodziły i zalewały się łzami. *Duque* natomiast, czym zresztą zdobył sobie moje najszczerze uznanie, rzucił się do zasypywania pocałunkami wybrudzonej twarzyczki żony.

Uznałam, że mimo wszystko należałoby chyba podjąć jakieś bardziej konkretne działania. Zapłaciwszy dorożkarzowi, zwróciłam księciu uwagę, że powinien już chyba wnieść żonę do domu. Natychmiast porwał ją w ramiona i wbiegł do środka, krzycząc do kucharki, by wezwała doktora. Podążyłam za nim w towarzystwie obu panien Mary. Książę wpadł do salonu i nie bacząc na oklejające jej okrycie błoto i nieczystości, złożył Blanchefleur na leżance. Nazwa mebla idealnie odpowiadała potrzebie chwili. Panny Mary rozbiegły się w poszukiwaniu soli trzeźwiących, gorącej wody i Bóg wie czego jeszcze. Tymczasem *duque* miotał się po pokoju targany paroksyzmami, dając upust egzaltowanej radości z odzyskania żony, wściekłości na sprawców jej zniknięcia, głębokiej rozpaczyny nad jej opłakanym stanem, przesadnej wdzięczności za jej ocalenie, niecierpliwości z powodu opóźniającego się przybycia lekarza... Jednym słowem, zdradzał objawy nader silnego wzburzenia uczuć, a co za tym idzie, nie domagał się z mojej strony zbyt wielu wyjaśnień.

Dlatego też, kiedy poszkodowaną zajęły się obie panny Mary i kiedy zjawił się lekarz, udało mi się pożegnać całe towarzystwo, przekazawszy zgromadzonym jedynie kilka zdawkowych informacji. Wynikało z nich, że doktor Ragostin odkrył miejsce pobytu zaginionej, jednak jako mężczyzna i człowiek taktowny prosi, żeby jego udział w tej sprawie pozostał tajemnicą. *Duque* Luis rozplywał się w zachwytach nad tak wielkoduszną delikatnością perdytorysty. Mam jednak podejrzenia, że robił to jedynie z grzeczności, ponieważ ani razu nie spytał mnie o to, co naprawdę widziałam ani gdzie przetrzymywano jego Blanchefleur. Przyszło mi do głowy, że zgłaszając policji szczęśliwe zakończenie sprawy, zezna jedynie, że żona się odnalazła, i odmówi wszelkiej dalszej współpracy. W prasie natomiast pojawi się wielki nagłówek informujący triumfalnie o powrocie księżnej, jednak w treści artykułu czytelnicy znajdą jedynie garść ogólnikowych domysłów. Sherlock Holmes, podobnie jak doktor Ragostin, nie zostanie wymieniony jako osoba, która przyczyniła się do rozwiązania zagadki.

„Wiem, że brat nie życzyłby sobie takich przejawów uznania”, pomyślałam, zmierzając kolejną, tym razem niewybłoconą wewnątrz dorożką w stronę Klubu dla Pań. Doktor Watson, opisując przygody wielkiego detektywa, często podkreślał, że Sherlock nie zabiegał zbyt o rozgłos. Z pewnością i on, i Mycroft woleliby przemilczeć swój udział w rozwikłaniu sprawy zniknięcia księżnej.

Sherlock. Mycroft. Mam braci.

Jakie to dziwne i staroświeckie uczucie. I jakie krzepiące.

Tym razem nie kazałam dorożkarzowi stanąć w pewnym oddaleniu od mojego miejsca zamieszkania ani nie czmychnęłam do najbliższej stacji metra. Zapomniałam o tym, że powinnam zachować czujność i liczyć się z tym, że braciom może jednak przyjść do głowy pomysł, by mnie śledzić. Byłam zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować. Z zaskoczeniem uświadomiłam sobie, że jeśli nawet odkryją, gdzie mieszkam, nie będzie to już miało dla mnie większego znaczenia. Kazałam się zatem wieść prosto pod siedzibę Klubu dla Pań.

Jednak będąc już na miejscu, skierowałam się ku bocznym drzwiom, żeby nie ubłocić dywanów reprezentacyjnego holu głównego. Wdrapałam się ostatkiem sił na swoje trzecie piętro, zamówiłam

ciepłą wodę do kąpieli i grzanki z masłem, a zabrudzoną odzież kazałam posłać do pralni. A potem, o godzinie, która dla większości obywateli wyznacza początek dnia, dałam nura do łóżka. I powiem bez cienia zażenowania: czułam, iż w pełni sobie zasłużyłam na solidną drzemkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Odsypianie zarwanej nocy w biały dzień często grozi zaburzeniami poczucia czasu. Obudziłam się późnym popołudniem rześka i przerażona, że oto przespałam swoje urodziny i nie dostanę żadnych ładnych prezentów, na domiar złego mama gdzieś zniknęła i musiałam jej szukać w strugach deszczu po okolicznych lasach, a teraz mam mokre pumpy, a przecież muszę jechać na stację, żeby przywitać moich braci... Moich braci! Nic dziwnego, że wpadłam w panikę. Przecież prawie ich nie znam. I chociaż bardzo mi zależy na tym, by odnaleźli mamę, to równie gorąco pragnę zaskarbić sobie ich sympatię. Nie mogę po nich jechać w spodniach, muszę jak najszybciej umyć włosy, a wszystkie moje białe suknie mają na sobie zielone ślady po trawie. A co będzie, jeśli się spóźnię na dworzec, mimo że pojedę na rowerze?

Na rowerze?

Co za absurdalna myśl. Równo rok temu pedałowałam po raz ostatni, by następnie porzucić rower w zagajniku na wzgórzu nieopodal miasteczka Belvidere, pobiec na stację i wskoczyć do pociągu, którym czmychnęłam do Londynu.

Usiadłam na łóżku. Powoli docierało do mnie, że znajduję się w wynajętym pokoju na trzecim piętrze Klubu dla Pań, a urodziny mam jutro. Natomiast rzeczywiście czeka mnie spotkanie z braćmi, i w pewnym sensie będziemy ze sobą rozmawiać po raz pierwszy, więc powinnam się na tę okoliczność ładnie ubrać... Mój wzrok padł na brunatne plamy na poszewce. Powinnam też jak najszybciej umyć włosy.

Zadziwiająco są te paralele z wydarzeniami sprzed roku. Wyskoczyłam z łóżka, żeby zadzwonić po służącą, jednak wciąż jeszcze do końca nie oprzytomniałam. Skoro zasnęłam i przeoczyłam chwilę, w której mama opuściła dom, muszę ją natychmiast odszukać albo udać się na posterunek policji w wiosce Kineford. Muszę szybko wyprowadzić rower...

Rower.

Znów to samo. Jakby jakaś niewidzialna osoba stuknęła mnie w ramię.

Mama zadała sobie wiele trudu, żeby zrobić ze mnie cyklistkę. Nagle wydało mi się to zastanawiające. Zazwyczaj nie przejmowała się tym, co robię. „Doskonale sobie poradzisz sama, Enolu”. Zbываła mnie tymi słowami niemal dzień w dzień.

Hm.

No tak, ale pamiętajmy, że była sufrażystką i zwolenniczką reform. Umiejętność jazdy na rowerze była dla niej czymś niezwykle ważnym. Zatrzymałam się w pół kroku, stojąc boso na zimnej posadzce. Przypomniały mi się echa dawnych rozmów, z których jasno wynikało, że rower był dla mamy przedmiotem symbolicznym. Ten nowy środek lokomocji nie tylko dawał kobietom większą swobodę przemieszczania się, ale także stanowił jawny dowód na to, że są one istotami dwunożnymi, w niczym się nieróżniącymi od drugiej połowy ludzkości.

Z pewnością mama założyła więc, że poruszam się po Londynie na rowerze. Ba, być może żywiła przekonanie, że tu na nim przyjechałam.

Oj... Ojej, moje szczęśliwe gwiazdy.

Oslabłam nagle (co jest zrozumiałe, ponieważ ostatnio prawie nic nie jadłam), siadłam ciężko na łóżku i chwyciłam mocno za jego krawędź.

Rower. *Skytale*. Rowery to w większości koła i kilka długich metalowych rur. Co więcej, uświadomiłam sobie, przywołując w pamięci różne modele tych pojazdów, że ich walcowate części mają na ogół standardową grubość.

No to trzeba będzie spróbować. Ale nie od razu. Nie mogłam wyjść na zewnątrz z takim nieporządkiem na głowie. A procedura mycia włosów wymagała rozpalenia ognia w kominku, przygotowania nagranych ręczników i wezwania do pomocy służącej. A potem trzeba było je wysuszyć, co zazwyczaj trwało godzinami. Poza tym skręcałam się z głodu i żołądek głośno domagał się jedzenia. Czas na naprawdę pożywny posiłek. To wszystko oznaczało, że do końca dnia będę zajęta. Zresztą nie miałam pojęcia, skąd wytrzasnąć rower. Jedynym pomysłem było zatrzymanie jakiegoś jadącego ulicą gońca.

Kiedy jednak wlałam w siebie syczącą zupę, przegryzając cudownie pachnącym świeżutkim chlebem, pochłonęłam gorącą zapiekankę ziemniaczaną z mięsem oraz spałaszowałam deser w postaci wyśmienitej leguminy z tapioki (całą kolację spożyłam w zaciszu swego pokoju, czekając, aż wyschną świeżo umyte włosy), poczułam nagły przyływ inwencji.

Sięgnąwszy po atrament, pióro i najlepszej jakości papier, skreśliłam, co następuje:

Mój drogi bracie!

Z pewnością uznasz, że to bardzo dziwne życzenie urodzinowe, jednak w grę wchodzi kwestia największej wagi, nie tylko dla mnie, lecz także dla Ciebie i Mycrofta. Proszę Cię zatem, byś w razie możliwości zechciał mi na jutro wypożyczyć (lub w inny sposób pozyskać) kilka rowerów o kołach jednakowej wielkości, podobnych do tego, którym sama kiedyś jeździłam. Dzięki temu będę mogła przeprowadzić w trakcie naszego podwieczorku pewien eksperyment.

Wiem, że i tym razem mnie nie zawiedziesz.

Szczerze oddana

Twoja buntownicza siostra

Enola

Na kopercie zapisałam adres Sherlocka Holmesa, pomijając jednak adres nadawcy. Zamiast bowiem zdać się na wątpliwą rzetelność umyślnego, postanowiłam doręczyć liścik osobiście. W tym celu zwinęłam włosy w koczek, nasunęłam na nos okulary w grubych ciemnych oprawkach, wsadziłam na głowę niekształtny kapelusik i wskoczyłam w szarobure tweedy. Wolałam udawać niezbyt urodziwą starą pannę, by uniknąć niebezpiecznych o tak późnej porze zaczepek w metrze. Kiedy dotarłam na Baker Street 221, wszyscy mieszkańcy domu już spali. Wsunęłam kopertę przez szparę pod drzwiami. Sherlock znajdzie ją jutro skoro świt.

W równą rocznicę mojego przyjścia na świat. Konkretnie piętnastą.

Większość tego dnia poświęciłam na staranne przygotowanie się do popołudniowej herbatki u Sherlocka. Wybrałam skrojoną według najnowszej mody suknię (z obowiązkowymi bufami, rzecz jasna) ze śliwkowego nankinu, czyli najdelikatniejszej, połyskliwej i miękko układającej się bawełny, odpowiedniej na letnie upały, choć nie tak luksusowej jak jedwab. Podjęłam też pewną nieco ryzykowną decyzję. Odłożyłam na bok sprawdzoną perukę i poprosiłam jedną z pokojówek zatrudnionych w Klubie dla Pań o pomoc w ułożeniu fryzury z moich własnych, świeżo umytych włosów. Dzielna dziewczyna spisała się na medal. Przeczesawszy je szczotką ni mniej, ni więcej jak pięćset razy, sprawiła, że stały się zaskakująco gładkie i lśniące. Przy okazji jednak naelektryzowały się tak, że zaczęły się unosić we wszystkich kierunkach. Służąca nie dała jednak za wygraną i po wielu zmaganiach, posiłkując się wodą i niezliczoną liczbą szpilek, upięła je w kunsztowny kok. Jeszcze tylko dyskretne muśnięcie różu na policzkach, suto marszczony kołnierzyk, widoczne przez rozcięcia w ciemnym materiale sukni bufy z białej bawełny, żółtozłote liliowce przypięte do stanika i kapelusza... Kiedy przejrzałam się w wysokim lustrze, stwierdziłam z satysfakcją (i bez większego zaskoczenia), że mojemu wyglądowi nie da się nic zarzucić. Od stóp – miałam na nich zapinane na guziczki buciki z lśniącej skóry o gołębiej barwie – do głów przypominałam elegancką damę. I nawet Mycroft to przyzna.

Ta myśl dodała mi nieco otuchy, ponieważ wizja urodzinowego podwieczorku w towarzystwie Mycrofta wciąż budziła we mnie sprzeczne uczucia i dość silny lęk. Odsunęłam od siebie wspomnienia wspólnego powrotu nad ranem, poważnej, znużonej twarzy Mycrofta, naszych wspólnych wysiłków, mojej burzy uczuć i słów Cyganki. Zaczęłam robić sobie wyrzuty, że tak beztrósko posłuchałam impulsu i dałam się namówić na to spotkanie. Niestłuchane, że zgodziłam się tam iść jak jagnię na rzeź, ryzykując utratę wolności. Oczywiście, dałam słowo i muszę go dotrzymać, ale... „Cygańskie przesady! Doprawdy, Enolu...”, skarciłam samą siebie i wyszukałam w komodzie dopasowane barwą do bucików rękawiczki. Podeszłam po raz ostatni do lustra, westchnęłam ciężko, pobiegłam na dół, przywołałam dorożkę i ruszyłam na Baker Street 221.

I gdyby nie te rękawiczki, z pewnością przez całą drogę ogryzałabym z nerwów paznokcie.

Kiedy jednak pojazd dojechał do celu, momentalnie zapomniałam o swoich obawach, widząc imponującą liczbę rowerów ustawionych na chodniku przed domem Sherlocka.

Stali tam także obaj moi bracia, jednak nie zwróciłam na nich najmniejszej uwagi. Zaczęłam się dokładnie przyglądać każdemu z pojazdów.

– Co też ona znowu wymyśliła? – spytał Mycroft.

Sherlock skwitował to wzruszeniem ramion.

– Chciała rowerów, to ma rowery.

– Ten! – zawołałam, unosząc głowę i dopiero teraz przywitałam się z braćmi. – Dzień dobry, Mycroftcie. Dzień dobry, Sherlocku. – Chwyciłam rower za kierownicę, odstawiłam go na bok, żeby ułatwić sobie do niego dostęp, i zaczęłam się mocować z ciasno zapiętymi rękawiczkami. – Ten jest prawie taki sam jak rowery, którymi jeździliśmy z mamą. Wszystkie zresztą mają bardzo podobną konstrukcję. Ale myślę, że powinnam zacząć od tego.

Wyciągnęłam *skytale*, wiadomość przesłaną mi przez mamę. Nosiłam ją przy sobie w gorsecie, który był o wiele bezpieczniejszą skrytką niż kieszenie.

– Oho! W jej szaleństwie jest metoda! – zauważył z humorem Sherlock, parafrazując cytát z *Hamleta*, którym często kwitowano jego poczynania.

Nie wiem, czy Mycroft cokolwiek mu na to odpowiedział, ponieważ całą swoją uwagę skupiłam na rowerze. Najlepszym elementem do owinięcia papierową taśmą była prosta, długa rura łącząca podstawę kierownicy z pedałami. Niestety, kilka podjętych przeze mnie prób nie przyniosło zadowalających rezultatów. Wymruczałam pod nosem parę niecenzuralnych słów.

– Doprawdy, droga siostrzyczko – odezwał się za moimi plecami męski głos.

Aż podskoczyłam z zaskoczenia, oburzona, że bracia zagląдают mi przez ramię. Jednak mój gniew szybko minął, kiedy ku swojemu zdumieniu stwierdziłam, że te pełne łagodności i przekory słowa nie padły z ust Sherlocka, lecz wypowiedział je Mycroft.

No tak, Sherlock zachowywał się dziś bardziej autorytarnie od brata.

– Idąc tokiem rozumowania typowym dla naszej matki – perorował – należałoby przypuścić, że za najważniejszą część roweru uznała tę, nad którą jadący ma największą władzę.

Ponieważ byłam odwrócona do brata plecami, pozwoliłam sobie przewrócić ze złością oczami. Mimo to, chcąc nie chcąc, spojrzałam na grubszą rurę łączącą przednią oś z kierownicą.

Już chwilę później przestałam się dąsać na Sherlocka, ponieważ w trakcie owijania tego elementu papierową taśmą litery zaczęły się układać w słowa. Aby je odczytać, trzeba było zawinąć wokół rury cały pasek papieru, aż do kierownicy. Wówczas udało mi się odczytać kilka linijek tekstu:

...nie da się być matką, nie będąc uprzednio człowiekiem. Rodzina, mąż i dzieci nie mogą być pretekstem do pozbawienia kobiety prawa do bycia sobą i posiadania marzeń. Uznałam, że gdybym sprzeniewierzyła się sobie, matczyzna troska, którą mogłabym Cię otoczyć, byłaby podszyta fałszem.

Sherlock przykucnął po drugiej stronie roweru i czytał dalej.

Nie potrafię być inna, niż jestem, i być może nie powinnam mieć dzieci. Dlatego też nie dziwi mnie to, że żaden z Twoich braci się nie ożenił.

– Wielkie nieba – przerwał mu Mycroft – toż to prawdziwa epistoła. I zdaje się, że zaczęliśmy ją czytać od środka. Paski są cztery, prawda? Możemy najpierw ustalić, który z nich powinien się znaleźć na początku?

– Oczywiście, że możemy – zgodził się Sherlock. – A ty bądź tak dobry i poślij Billy’ego po ołówek i papier, będziesz spisywał to, co tu z Enolą odczytamy.

Tak właśnie wyglądał początek mojego urodzinowego „podwieczorku” na chodniku przed budynkiem przy Baker Street 221. Oszczędzę łaskawemu czytelnikowi opisu wszystkich naszych zmagañ z czterema papierowymi wstęgami. Muszę jednak wspomnieć o tym, że świadomość współpracy z braćmi w dążeniu do jednego celu dała mi ogromną satysfakcję. Radość jednak okazała się przedwczesna i ulotniła się, kiedy rozbrzmiały pierwsze słowa maminego listu.

Moja najdroższa Enolu,

jeśli dotrze do Ciebie ta wiadomość, będzie to oznaczało, że pożegnałam się z życiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Akurat wypadła moja kolej czytania. Po tych słowach cała nasza trójka zamilkła. Przez chwilę słyhać było jedynie szum i gwar ulicy. Sherlock i Mycroft nie wiedzieli, co powiedzieć. A może czekali, aż ja, „najdroższa Enola”, odezwę się pierwsza.

– Oczywiście – odzyskałam w końcu głos. – Te wszystkie wyrysowane węglem znaki, te szlaczki, obwódki i strzegące od złych uroków oczy... Cyganie pokryli nimi kopertę, żeby chronić osobę, która miała ją doręczyć.

– Są bardzo zabobonni, więc chcieli odegnać wiszący nad nimi cień śmierci – dopowiedział Mycroft szorstko. – W rzeczy samej.

– Enolu – zwrócił się do mnie Sherlock. – Bardzo mi przykro.

– Ale dlaczego? – Zerknęłam na niego przez szprychy, starając się zrobić komiczną minę. – Sto lat z okazji urodzin, Enolu.

Sherlock odwrócił wzrok.

– Billy – zawołał ostrym tonem do chłopca na posyłki – możesz zwrócić pozostałe rowery właścicielom!

Billy przystąpił do wykonywania polecenia, a my ponownie zajęliśmy się tekstem. Nie chcę zamęczać łaskawego czytelnika szczegółami dotyczącymi odszyfrowywania pożegnalnego listu mamy. Podam więc tylko jego treść według zapisków Mycrofta i w pełnym brzmieniu.

Moja najdroższa Enolu,

jeśli dotrze do Ciebie ta wiadomość, będzie to oznaczało, że pożegnałam się z życiem. Wiem, że to dla Ciebie szok i że to okrutne słowa, jednak nie mam zamiaru łagodzić ich wydźwięku frazesami o „odejściu do lepszego świata”. Wiesz dobrze, że jako kobieta wykształcona i wolnomyślicielka nie wierzę w życie po śmierci. To jeden z powodów, dla których tak żarliwie walczyłam o prawa dla kobiet: życie doczesne jest jedynym, które zostało nam dane, więc mamy obowiązek w pełni je wykorzystać.

I to stało się również powodem, dla którego Cię opuściłam – no dobrze: porzuciłam Cię i czuję się winna – w tak bezduszny sposób. Myślałam, że uda mi się opóźnić odejście z domu o rok lub dwa, jednak guz, który pojawił się w moim brzuchu, narastał w zastraszającym tempie i nie mogłam dłużej zwlekać. Enolu, zawsze byłaś nad wiek mądra i rozsądna, więc pewnie zrozumiesz, że nie da się być matką, nie będąc uprzednio człowiekiem. Rodzina, mąż i dzieci nie mogą być pretekstem do pozbawienia kobiety prawa do bycia sobą i posiadania marzeń. Uznałam, że gdybym sprzeniewierzyła się sobie, matczyzna troska, którą mogłabym Cię otoczyć, byłaby podszyta fałszem. Nie potrafię być inna, niż jestem, i być może nie powinnam mieć dzieci. Dlatego też nie dziwi mnie to, że żaden z Twoich braci się nie ożenił. Być może i Ty zrezygnujesz z posiadania dzieci – i być może z korzyścią dla wszystkich.

Tak czy inaczej, od dziecka chciałam poznać smak nieskrępowanej cygańskiej swobody. Zachwycają mnie barwne stroje tego ludu, śpiew skrzypiec, potrząsające grzywami konie, beztroski śmiech, lekceważenie bezsensownych zasad. Nie gorszy mnie wcale ich skłonność do złodziejstwa, będąca przejawem buntowniczej, podobnej do mojej natury. Opuszczając dom, sama miałam na sumieniu niejedną kradzież.

Odeszłam, by samolubnie spełnić swoje marzenia. Ale – choć to słaby argument – zrobiłam to także z myślą o Tobie. Chciałam Ci oszczędzić tragifarsy związanej z czuwaniem przy łożu śmierci, czarną krepą i całą resztą uświęconych tradycją, pożalowania godnych i uciążliwych rytuałów żałobnych. Pragnęłam też uniknąć tego, co stało się udziałem Twojego biednego ojca: kościelnego pogrzebu i uwięzienia pod ciężką kamienną płytą. Wybrałam wolność. Chcę zaznać wolności i w ostatnich dniach życia, i po śmierci.

Być może to ironia losu, że ja, racjonalistka, postanowiłam spędzić końcówkę życia otoczona ludźmi wyznającymi wiarę w najróżniejszego rodzaju bzdury, od wróżenia z ręki po życie pozagrobowe. Ale nawet zabobonność Cyganów nie jest w stanie osłabić mego do nich przywiązania. Traktują mnie tu niemalże jak bóstwo. Leżę w tej chwili w osobnym namiocie, postawionym specjalnie dla umierającej. Jestem otoczona najtroskliwszą opieką, mimo że ci, którzy mają ze mną styczność, muszą się poddawać rytuałom oczyszczającym. W tej chwili szyją mi nowe buty i ubrania, żeby niczego mi nie zabrakło, kiedy

przyjdzie po mnie śmierć. Złożywszy mnie w ziemi, obsypią moje ciało talizmanami i monetami na szczęście, z pewnością nie zapomną też o moich pędzlach. Gdybym posiadała własny wóz i konie, pojazd zostałby spalony, a zwierzęta zabite, by i one mogły towarzyszyć mi w zaświatach. Ponieważ ich nie mam, położą mi na mogile wieńce w ich kształcie. Pochowają mnie tam, gdzie akurat rozbiją obozowisko, a następnego dnia ruszą w dalszą wędrówkę, śpiewając pieśni.

Choć nie potrafię powiedzieć dlaczego, wydaje mi się to niezwykle piękne. Możliwe, że masz inne odczucia. Próbuję ocenić własne postępowanie z Twojego punktu widzenia. Wiem dobrze, że przysporzyłam Ci cierpienie. Zapewne zastanawiałas się, czy żywię do Ciebie jakieś matczyne uczucia. Sama zadaję sobie pytanie, czy na pewno ofiarowałam Ci tyle, ile mogłam. Na szczęście mogę sobie odpowiedzieć, że tak. Kochałam Cię tak, jak potrafiłam, będąc taka, jaka jestem. Paradoksalnie gdybyś miała inną matkę, ta z pewnością okazałaby Ci więcej miłości, ale wówczas nie byłabyś Enolą.

Enolu Eudorio Hadassah Holmes, Córeczko, z której jestem dumna, napisałam do Ciebie, ponieważ jestem Ci winna prawdę. Twój braciom nic nie jestem winna. A jednak cieszą mnie ich sukcesy i mam nadzieję, że gdyby zaszła taka możliwość, zdradzisz im treść tego listu.

Celowo nie opatruję go datą. Nie życzę sobie świętowania rocznicy mojej śmierci.

Podobno „żyjemy dalej” w pamięci tych, którzy nas znali. Nie mam ochoty żyć dalej w żadnym rozumieniu tego zwrotu, ufam jednak, że nie będziesz mnie bardzo źle wspominać.

Twoja matka

Eudoria Vernet Holmes

Każde z nas zareagowało na powyższe słowa we właściwy sobie sposób. Sherlock stwierdził nagle, że musi odwieźć rower właścicielowi osobiście, po czym wskoczył na siodełko i ruszył w drogę. Mycroft poczerwieniał dziwnie na twarzy i zaprowadził mnie na piętro, ciężko dysząc. Następnie udał się na parter i ryknął, by podano nam herbatę. A ja... nie byłabym przecież człowiekiem, gdybym nie uroniła kilku łez, zwłaszcza że na spotkanie wybiegł mi owczarek Reginald, okazując mi szczerą i bezinteresowną przywiązaną, zachowując się jakże inaczej niż... Opadłam na sofę, a pies wskoczył na siedzisko i położył się obok mnie. Wtuliłam twarz w jego kudłatą szyję i się rozplakałam. Gdyby mama miała w sobie więcej z psa...

Myśl była tak absurdalna, że omal nie roześmiałam się przez łzy. „Opanuj się, Enolu!”, ofuknęłam samą siebie, wyprostowałam się i wysmarkałam nos. To prawda, że wiele mamie zawdzięczałam i zgodnie z jej życzeniem nie będę wspominać jej bardzo źle. Dzięki temu, że uparła się być sobą, niepokorną sufrażystką Eudorią Holmes, znalazłam w sobie dość odwagi, by idąc za jej przykładem, być Enolą.

Kiedy Mycroft wrócił na górę i zobaczył moje mokre policzki, wydał z siebie kilka nieartykułowanych dźwięków i cmoknięć, po czym zaczął gwałtownie przeszukiwać własne kieszenie. Na ten widok uśmiechnęłam się i pospieszyłam z zapewnieniem:

– Tym razem mam własną. – Pokazałam mu fikuśną chustkę do nosa haftowaną w fiołki.

– Jest do niczego – sarknął.

– A ja uważam, że spełniła swoje zadanie.

Nie miałam już ochoty płakać. Bardziej dziwił mnie fakt, że oto siedzę w jednym pomieszczeniu ze starszym bratem i nie czuję najmniejszego strachu. Zdumiało mnie trochę jego zmieszanie i przyglądałam mu się z pełnym sympatii zaciekawieniem.

– Gdzie jest Sherlock i gdzie jest ta przeklęta herbata? – stęknął.

Co byśmy poczęli bez herbaty? Po chwili ją wniesiono, Mycroft napełnił filiżanki i podsunął mi pod nos patereczkę z pokrojonym ciastem – czyżby tortem urodzinowym? – a kiedy się nim poczęstowałam, oświadczył niespodziewanie:

– Enolu, mam wrażenie, że jednak zdołam sprawić, by rocznica twoich urodzin była nieco weselsza.

– Już tego dokonałeś – zapewniłam.

Przerwał mi ze złością:

– Teraz ja mówię. Po pierwsze, chcę cię przeprosić...

– Nie musisz! – zawołałam.

– Bardzo cię proszę, siedź cicho. Przepraszam, że kiedykolwiek myślałem lub mówiłem coś na temat pensji dla panien. To, czego się w ostatnich dniach dowiedziałem, skutecznie odwróciło mnie od zamiaru posłania cię do tego rodzaju instytucji. Co więcej, ubolewam nad tym, że nie doceniłem twoich zdolności. Kiedy cię rok temu poznałem, widziałem jedynie dziecko, które samo jest dla siebie zagrożeniem, zaniebane biedactwo wymagające pomocy, za które jestem odpowiedzialny. Twoja reakcja, mimo że niejednokrotnie budziła we mnie sprzeciw, dowiodła niezbitcie, że byłem w błędzie. – Do tej pory kierowałem swoje słowa w stronę serwisu herbacianego, ale teraz wbił we mnie świdrujące spojrzenie, spoglądając spod krzaczastych brwi. – Chyba rozumiesz, że nie miałem złych intencji.

– Oczywiście, że nie miałeś. Próbowaleś jedynie zrobić to, co poczytywałeś za swój obowiązek.

– Zorientowałam się, że za chwilę przejdziemy do dyplomatycznych negocjacji.

Mycroft wciąż sprawował nade mną kuratelę, nadal czuł się za mnie odpowiedzialny, a nieobecny Sherlock nie mógłby stanąć w mojej obronie, gdyby Mycroftowi przyszło do głowy wyegzekwować prawa opiekuna. Mimo to, chociaż jeszcze nie bardzo wiedziałam dlaczego, nie czułam się w najmniejszym stopniu zagrożona.

Mycroft pokiwał głową.

– I nadal poczytuję to sobie za obowiązek. Enolu, jestem zobligowany do zapewnienia ci bezpiecznego dachu nad głową...

– Mieszkam w Klubie dla Pań – oświadczyłam, będąc pewna, że nie muszę już ukrywać miejsca swego pobytu. Nie miałam jednak pojęcia, skąd mi się ta pewność wzięła.

Mycroft uniósł brwi ze zdziwieniem przemieszonym z aprobatą.

– W całym Londynie nie znalazłabyś bezpieczniejszego miejsca. Ale to ogromny wydatek! A po roku środki zostawione ci przez naszą kochaną i zapobiegliwą matkę...

– Część z nich przeznaczyłam na zakup pensjonatu – odpowiedziałam. – Dochody z wynajmu pokoi wystarczają mi w zupełności.

– Wielkie nieba! – zakrzyknął, słysząc te słowa. W tej samej chwili do pokoju wszedł nasz brat, a Reginald powitał go szczekaniem i podskokami. – Sherlocku, słyszałeś? – Oczywiście, że nie mógł niczego słyszeć. Mycroft odwrócił się z ociąganiem w jego stronę. – Zamieszkała w Klubie dla Pań! Ma pensjonat i utrzymuje się z wynajmu pokoi!

– Dlaczego aż tak cię to dziwi, mój drogi Mycroftcie? – Sherlock opadł ciężko na fotel, jakby wydarzenia tego dnia pozbawiły go wszystkich sił, i nalał sobie herbaty. – Spodziewałeś się takiego obrotu sprawy. I miałeś świętą rację w tym, co mi od początku mówiłeś.

– Nic nie rozumiem.

– Zakładałeś, że zajęła się zawodowo poszukiwaniem osób zaginionych. – Sherlock wyprostował się w fotelu, popijając herbatę z zagadkową miną. – Czy w twoim pensjonacie, Enolu, nie mieści się przypadkiem biuro niejakiego doktora Ragostina, naukowca perdytorysty?

Zdaje się, że na chwilę straciłam zdolność uśmiechania się.

– Od jak dawna wiesz?

– Od chwili, kiedy odwiedziłem księcia Luisa del Campo, by spytać o stan zdrowia jego małżonki. Poinformował mnie, że do jej odszukania przyczynił się doktor Ragostin. – Zdaje się, że herbata podziałała na Sherlocka niezwykle pobudzająco. W jego oczach pojawił się błysk, kiedy podekscytowanym tonem oznajmił bratu: – Ta przebiegła dziewczyna robi mi konkurencję, Mycroftcie!

Skołowany do reszty Mycroft zaburczał gniewnie:

– Sherlocku, zechciej może nadać swoim wypowiedziom bardziej logiczny tok.

Sherlock nic mu nie odpowiedział, natomiast znów spojrzał na mnie.

– Czy Ivy Meshle była asystentką doktora Ragostina?

Westchnęłam ciężko.

– Nie, sekretarką. Ale potem sama siebie awansowałam na jego asystentkę. Pod innym nazwiskiem.

Mycroft, który w końcu złapał nitkę sensu w naszej rozmowie, wyprostował się gwałtownie

i wlepił we mnie oczy.

– Wymyśliłaś sobie tego całego doktora Ragostina?

– Zgadłeś.

– Żeby móc się poświęcić poszukiwaniom zaginionych?

Przez chwilę nie potrafiłam udzielić odpowiedzi. Poczułam w gardle jakąś ciepłą kluchę. Pod ostrzałem dwóch braterskich spojrzeń pełnych chęci zrozumienia tej dziwnej, siedzącej przed nimi istoty uświadomiłam sobie nagle, dlaczego już żadnego z nich się nie boję.

Zależało im na mnie.

A mnie na nich.

Świadomość tych faktów była tak słodka, tak sycąca, tak upajająca, że nie mógłby się z nią równać nawet najwspanialszy tort urodzinowy.

Poczułam, że mogę im zaufać.

– Tak, zaginionych osób i przedmiotów. Początkowo planowałam jedynie odszukać mamę, ale wciąż odkładałam to na później...

– Bardzo mądrze – pochwalił mnie Mycroft i kiwnął głową.

– Trzeba poznać swoje możliwości – powiedział cicho Sherlock. – Wiedzieć, ile można na siebie wziąć. I ile można znieść.

Przez chwilę siedzieliśmy pogrążeni w milczeniu. Domyślałam się, że wszyscy troje pomyśleliśmy o naszej matce, którą wszyscy kochaliśmy tak, jak potrafiliśmy najlepiej, będąc takimi, a nie innymi.

Pierwszy otrząsnął się Mycroft.

– A więc, Enolu, co dalej? – spytał. – Jaką troską mogę cię otoczyć, jak by powiedziała nasza świętej pamięci mama? Pragnąc uchronić cię przed śmiercią, ale nie budząc w tobie uczucia wrogości? Sherlock wspominał, że chciałabyś iść na studia.

– Bardzo – potwierdziłam. – Jak również chciałabym oddychać wreszcie powietrzem, które nie jest lepka i ciemna od dymu zawieszina...

– Chciałabyś wyjechać z Londynu?

– Na jakiś czas. Może wrócić na kilka tygodni do Ferndell. – Czułam na nodze ciepło wtulonego we mnie owczarka Reginalda, którego z roztargnieniem gładziłam po głowie. – Pragnęłabym także złożyć wizytę lady Cecyli Alistair. Jestem ciekawa, jak się jej wiedzie i czy mogłybyśmy się zaprzyjaźnić. Kto wie, może dałaby się namówić na wspólne studia.

– Doskonały pomysł – powiedział Mycroft, który wiedział to i owo o mojej sympatii dla Cecyli.

– A co potem?

– Dam wam znać. Potrzebuję czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Tylko wiedźcie jedno, moi kochani bracia... – Uniosłam głowę, znosząc bez mrugnięcia skierowane na mnie spojrzenia dwóch par stalowoszarych oczu. – Nie możecie się łudzić, że kiedyś stanę się kobietą w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Poszukiwanie zaginionych to moja pasja, moje powołanie. Jestem urodzoną perdytorką.

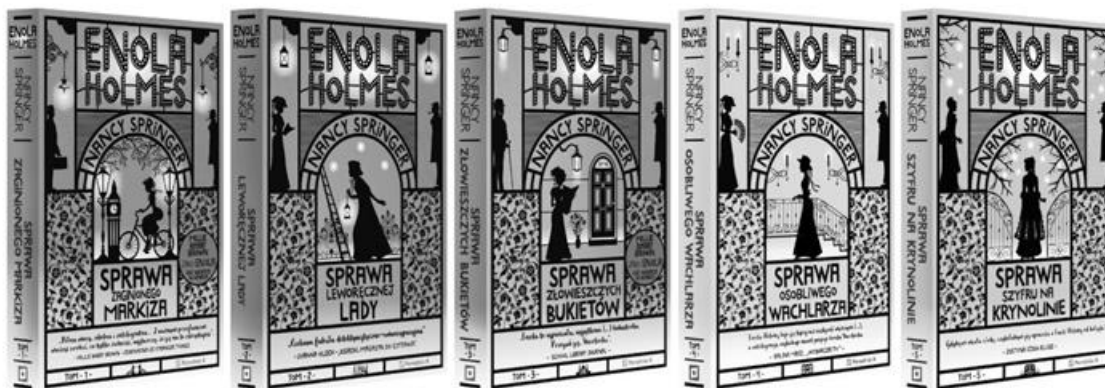
– Doskonale! – zawołał Sherlock.

– To skandaliczne – zaburczał Mycroft tonem rezygnacji.

– Enolu – zwrócił się do mnie Sherlock głosem, w którym drżały emocje, o jakie nikt by go nie podejrzewał. – Moja droga siostrzyczko, błagam cię, rób w życiu to, na co masz ochotę. Samolubnie przyznam, że uzależniłem się od ciebie, twojego polotu i twojej nieprzewidywalności. I przyznam z ręką na sercu, że nie mogę się doczekać, czym nas jeszcze zaskoczysz.

WYDAWNICTWO **PORADNIA K**
POLECA SERIĘ

ENOLA HOLMES



facebook.com/poradniak

instagram.com/poradnia_k_wydawnictwo

linkedin.com/company/poradniak

sklep.poradniak.pl

 **Poradnia K**

ENOOLA HOLMES

NANCY SPRINGER

SPRAWA TAJEMNICZEGO ZNIKNIĘCIA KSIĘŻNEJ

Enola Holmes to superbohaterka na miarę przygodowej
wyobraźni wszystkich dziewczyn!

- JUSTYNA BEDNAREK -

TOM - 6 -



 Poradnia K